MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 2. WARSZAWA, 11 STYCZNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

1930 — 1931

NIEDOBRZE jest mniemać i twierdzić, że właśnie to, co się dzieje w bieżącej chwili, jest zawsze najważniejsze, ale niedobrze jest także, co się często zdarza, nie dostrzegać wagi chwili bieżącej, gdy jest ona naprawdę niepowszednia.

Polska, na gruncie międzynarodowym, przechodzi z roku 1930 w rok 1931, w okres nowy i ciężki. Zmiany są w stanie prawno-politycznym, w stanie gospodarczym, światowym i naszym, w stanie oddziaływania naszych spraw wewnętrznych na stanowisko państwa zagranicą. Są to czynniki, które składają się, na przejściu z roku 1930 w rok 1931, bez przesady na wielką przemianę.

Prawno polityczny stan, który był ustalony w Traktacie Wersalskim, jest obecnie zmieniony nietylko w uzupełnieniach i przekształceniach prawa międzynarodowego, których wyrazem są umowy w Hadze, ostatecznie podpisane 20-go stycznia 1930, ale także w tej wielkiej zmianie rzeczywistej na widnokręgu europejskim, jaką jest zniknięcie okupacji Nadrenji.

Właściwie, jeżeli się chce ściśle określać zmianę prawno-polityczną, nie należy nigdy mówić: Haga 1930, ale trzeba mówić: Locarno — Haga 1925—1930. Jest to bowiem jedna całość działania i zdarzenia politycznego, którego Locarno jest początkiem, a Haga dokończeniem. Razem ta całość, która odbiegła od Traktatu Wersalskiego o dziesięć lat w czasie, odbiegła od niego znacznie odleglej w treści.

Polityka Locarno-Haga jest t. zw. polityką pojednania z Niemcami. Można powiedzieć, że polityka ciągłego stanu napięcia i tarcia nie jest najlepsza, zatem że dążenie do złagodzenia, czyli do pojednania, było uzasadnione. W czem jednak był błąd? Na drodze tej pojednawczej polityki mieli sprzymierzeni z czasu wojny, twórcy Traktatu Wersalskiego, bardzo znaczne i cenne dla Niemiec ustępstwa. Mogli przywrócić Niemcy do rodziny narodów i w skład Ligi Narodów, z której były one wyłączone i poddane surowym warunkom przyjęcia; mogli zmniejszyć w sposób dla Niemiec korzystny wysokość odszkodowań; mogli szczególnie dotkliwe sposoby zabezpieczenia się przed nowem uderzeniem Niemiec, jak istnienie Komisji Nadzorczej Rozbrojenia na gruncie samych Niemiec, oraz jak okupacja Nadrenji, zamienić na inne skuteczne, a mniej przykre sposoby. Ale polityka Locarno—Haga poszła takiemi torami, że sprzymierzeni, czyniąc Niemcom wszystkie te ustępstwa, jeszcze niejako im płacili za łaskawe ich przyjęcie, a płacili naruszeniem po ich myśli i na ich korzyść samych podstaw pokoju. Za łaskawe wejście Niemiec do Ligi zapłacono im przywilejem stałego miejsca w Radzie i zadośćuczynieniem ich bardzo zuchwałemu żądaniu, by nikt inny, t. j. Polska nie dostał tego równocześnie, t. j. nigdy już bez ich zgody, bo na to potrzeba jednomyślności Rady; do zniżenia odszkodowań, w obliczeniu na płatność zaraz, a nie ratami, z pierwotnych 132 miljardów marek złotych na 38 miljardów marek złotych, dodano postanowienia, które odbierają samym sprzymierzeńcom ocenę, czy Niemcy, przestając płacić, czynią to z niemożności czy nie, czyli naruszono pewność płacenia nawet tak bardzo zmniejszonych odszko-

dowań; wzamian za zniesienie Komisji Nazdorczej Rozbrojenia i nawet za usunięcie okupacji Nadrenji, nie wprowadzono, poza paktem reńskim dla części Europy, który zresztą jest także tylko paktem, a nie faktem, żadnych zabezpieczeń rzeczywistych, jak były tamte. W ten sposób polityka Locarno—Haga, zwana polityką pojednania, stała się raczej, w określeniu znacznie bliższem prawdy, polityką rozzuchwalenia.

Tak wygląda przemiana, chyba dostatecznie wyraźna, a dopełniona właśnie w roku 1930, umową w Hadze z 20-go stycznia 1930 i wyjściem ostatniego żołnierza francuskiego z Nadrenji 30-go czerwca 1930, dla Europy wogóle.

Szczególnie jednak widoczna jest ta przemiana w stronę i od strony Polski.

Co bowiem oznacza dla nas Locarno-Haga?

Locarno z r. 1925 oznacza rozróżnienie granic zachodnich, jako nienaruszalnych, od granic wschodnich, jako mniej nienaruszalnych, a Haga z r. 1930 oznacza odebranie nam rękojmi bezpieczeństwa, jaką i dla nas stwarzał Traktat Wersalski w artykule 429-tym w postaci okupacji Nadrenji, nie wzamian za pakt reński, który mają Francja i Belgja, ale wzamian ściśle i dosłownie za nic.

Tę prawdę trzeba sobie przyswoić na przejściu z roku 1930 w rok 1931: zmieniły się prawno-polityczne podstawy życia międzynarodowego w Europie, zmieniły się w ujęciu postanowień prawnych i w samej uchwytnej rzeczywistości, zmieniły się dla Europy wogóle, ale dla Polski najbardziej.

Kto tego nie dojrzał w samej dokonywającej się przemianie podstaw politycznych, ten musi już widzieć to w skutkach, mianowicie w stanowisku Niemiec. Jakie są te skutki? Polityka pojednania stworzyła Niemcy chwili obecnej, najeżone żądzą odwetu.

Pochód tego zaostrzenia w Niemczech w ciągu r. 1930 był zdumiewająco jaskrawy swą wyrazistością. W stronę Zachodu nawet wyraża się on hasłami Prezydenta Hindenburga, w chwili objazdu w lipcu 1930 zwolnionej Nadrenji, o konieczności zwolnienia się z wszelkich dalszych więzów Traktatu Wersalskiego, wyraża się odrzucaniem, nawet przez ministrów Rzeszy, możności wykonywania Planu Young'a o odszkodowaniach, wyraża się w wyborach do Reichstagu z 14-go września 1930, które dały odwetowcom Hitlera, w porównaniu z majem 1928, aż 6 miljonów 400 tys. głosów zamiast 860 tys., i 107 mandatów zamiast 12. W stronę Polski zaś wyraża się w unicestwieniu układu handlowego, podpisanego 17-go marca 1930 w Warszawie, przez nagłe zmiany stawek celnych w parę tygodni później, gdy w skład Rządu Rzeszy wszedł p. Schiele, wyraża się w lipcu 1930 niedwuznaczną wzmianką o koniecznych zmianach granic w odpowiedzi Niemiec na wniosek p. Briand'a o związku europejskim, wyraża się w sierpniu 1930 w zupełnie już bezczelnem haśle urzędującego ministra Rzeszy p. Treviranus'a o zmianie granicy polsko-niemieckiej, jako najbliższem zadaniu polityki zagranicznej Niemiec, wyraża się wreszcie w niezwykle rozległem i ostrem postawieniu przez Rząd Rzeszy, jako członka Rady Ligi, sprawy mniejszości niemieckiej w naszych wyborach do Sejmu i do Senatu, przy takich przygrywkach, jak podróże pograniczne ministra spraw zagranicznych p. Curtius'a i innych ministrów. Jest to szereg zdarzeń, które dostatecznie wyraźnie mówią o obecnem usposobieniu Niemiec.

Polityka pojednania z Niemcami nie dopisała. Zawód jest tak stanowczy, że rozprawy Izby Deputowanych we Francji, z 6-go, 7-go i 13-go listopada 1930, uderzyły na trwogę. Sprawa wyszła z niedomówień.

Czy jest ktoś trzeźwy, ktoby sądził, że ten pochód odwetowy Niemiec, skierowany dziś przedewszystkiem i narazie przeciw Polsce, na to był dotychczas tak wytrwały, tak świadomy, tak nawiązujący ogniwo do ogniwa, by nagle się urwał?

I dlatego trzeba powiedzieć, że w przejściu z r. 1930 w r. 1931 wchodzimy w okres politycznie twardy, a w złe zapowiedzi brzemienny.

Dołącza się do tego sprawa niezmiernie doniosła chwili obecnej: bardzo ciężki stan gospodarczy Europy i Ameryki.

Zjawiska gospodarcze stały się tak groźne, jak rzadko tylko bywa w dziejach, zarówno rozległością jak głębią przesilenia. Minęła chwila, kiedy Stany Zjednoczone Ameryki, rozbrzmiewające hasłem pomyślności, wyglądały jak ostoja, o którą zawsze świat oprzeć się zdoła, bo dzisiaj są one bodaj ośrodkiem najniebezpieczniejszym przesilenia. Minęła chwila, gdy o bezrobociu mówiło się głównie w Anglji, gdzie jest ono stale z przypływami i odpływami, bo dzisiaj liczba bezrobotnych w Niemczech dosięga 4 miljonów.

Międzynarodowe zaś zjawiska gospodarcze, gdy dojdą do poziomu szczególnie przepadlistego, zaczynają oddziaływać już nietylko na życie gospodarcze, ale także na politykę międzynarodową, a zwykle nie na korzyść słabszych i bardziej zagrożonych.

Wreszcie wewnętrzny stan kraju.

Można mieć różne zdania o tym stanie rzeczy, jaki jest dzisiaj u nas, jeśli się myśli tylko w obrębie granic kraju. Ale to pewna, że dla zagranicy rozstrzyga wrażenie ogólne, które jest dodatnie lub ujemne. Otóż dzisiaj zagranica nie zazdrości nam, bo nie uważa stosunków naszych za ustalone lub za ustalanie. A to rozstrzyga i rozstrzyga przeciw nam.

W tym stanie rzeczy trzeba widzieć jasno tę prawdę, że po roku 1930 droga nasza w r. 1931 nie będzie usłana różami.

STANISŁAW STROŃSKI

ODKĄD POLSKA JEST PAŃSTWEM NIEPODLEGŁEM?

(KARTA Z DZIEJÓW POLSKI)

(Ciąg dalszy)

W WARSZAWIE mąż zaufania Rady Regencyjnej, ks. Janusz Radziwiłł złożył swą misję utworzenia gabinetu 17 października, a misję tę powierzyła Rada Reg. prezesowi Komitetu Międzypartyjnego, Józefowi Świeżyńskiemu. Z zaproszonych przez Radę Reg. posłów przybyli tylko posłowie z parlamentu austrjackiego, ponieważ posłom polskim z Niemiec nie udzielił rząd paszportów. Posłowie polscy z Austrji odbyli w Warszawie w dniu 17 października konferencję, w której zgodzili się w zasadzie na utworzenie gabinetu koalicyjnego z Józefem Świeżyńskim na czele. Wieczorem tegoż dnia byli podejmowani przez Radę Regencyjną w salonach regenta Ostrowskiego. Na zapytanie Rady Reg. o stanowisko mego stronnictwa w stosunku do Rady Reg. i do przyszłego rządu oświadczyłem, że „Rady Regencyjnej jako władzy utworzonej przez państwa centralne nie uznaję i nie mógłbym zgodzić się na to, aby moje stronnictwo przyjmowało z jej ramienia udział w rządzie. Wobec tego jednak, że utworzenie Rady Narodowej, jako najwyższej władzy państwowej, okazuje się niemożliwe wskutek oporu stronnictw lewicowych i ludowych, a utworzenie rządu w początkach niepodległości państwowej jest rzeczą pilną, mógłbym się zgodzić na przejściowe utrzymanie władzy zwierzchniej, złożonej z trzech mężów, którzy ogłosili orędzie z 7 października, a tworzących radę regencyjną, ale nie z tytułu tego, że są radą regencyjną, lecz z tytułu ogłoszenia orędzia z 7 października 1918, opartego na programie Wilsona i koalicji zachodniej. Mężowie ci mieliby piastować najwyższą władzę w państwie tak długo, dopóki cieszyć się będą powszechnem zaufaniem i dopóki nie będzie utworzone w tym celu inne ciało polityczne, w którego ręce rada regencyjna władzę swą złoży". Na to moje oświadczenie (podane w swoim czasie nieściśle przez dzienniki i włożone w usta, w „Kurjerze Warszawskim" Nr. 218, mylnie posłowi Tertilowi) Rada Regencyjna odbyła krótką naradę i oświadczyła przez usta ks. arcyb. Kakowskiego, że na to stanowisko s i ę z g a d z a. Zgoda ta zdecydowała o powstaniu gabinetu Świeżyńskiego, ale równocześnie stworzyła nowe trudności na lewicy, która nie chciała się zgodzić ani na powołanie Rady Narodowej, ani na utrzymanie „trzech mężów" rady regencyjnej u steru. Źródłem trudności była także okoliczność, że członkowie Rady Regencyjnej pomimo przyjęcia moich zastrzeżeń, nie zmienili swej nazwy na inną (np. Tymczasowa Władza Zwierzchnia niepodległej Polski), lecz utrzymali swą nazwę dawniejszą, nie odpowiadającą zmienionej sytuacji politycznej, a w szerokich kołach ludności i w innych dzielnicach Polski znienawidzoną. Utrzymanie tej nazwy przyczyniło się także do tego, że w literaturze politycznej traktuje się „radę regencyjną" z października r. 1918 narówni z dawną Radą Regencyjną, tworem niemieckim i austrjackim.

W dniu 19 października odbyło się w sali Tow. Hygienicznego w Warszawie zebranie stronnictw, na którem ich przedstawiciele zajęli stanowisko w stosunku do tworzącego się rządu.

Przedstawiciele Koła międzypartyjnego żądali utworzenia silnego rządu i trójdzielnicowej Rady Narodowej, jako ciała kontrolującego i opinjodawczego w stosunku do rządu, aż do chwili zwołania sejmu, który powinien być niezwłocznie zwołany i powinien być oparty na szerokiej podstawie demokratycznej.

Przedstawiciel P. P. S. uczynił zależnem stanowisko stronnictwa do przyszłego rządu od jego składu, poczynań, a przedewszystkiem od powołania konstytuanty, ale oświadczył, że partja jego do rządu nie wejdzie ze względu na istniejące warunki okupacyjne.

Stronnictwo ludowe (poseł Witos) oświadczyło się za natychmiastowem utworzeniem rządu i zapewniło mu poparcie, o ile stanie na stanowisku interesów ludu i zwoła sejm jednoizbowy w najkrótszym czasie. Na razie udziału w rządzie nie weźmie i zastrzega się przeciw tworzeniu jakiegokolwiek ciała politycznego, któreby nas przedzielało od sejmu.

Zebranie zakończyło się rezolucją, aby rząd postarał się o jak najrychlejsze uwolnienie Józefa Piłsudskiego, Sosnkowskiego i innych więźniów politycznych.

Na podstawie zgodnej opinji stronnictw Józef Świeżyński utworzył pierwszy gabinet niepodległej Polski, niezależny od władz okupacyjnych. Dla stwierdzenia tej pełnej niezawisłości rządu zażądałem wydania dekretu o utworzeniu ministerstw spraw zewnętrznych i wojskowych (wbrew ustrojowi z 5 listopada 1917, narzuconemu przez okupantów), czemu Rada Regencyjna, po dłuższem wahaniu, zadość uczyniła. W ten sposób zostałem powołany na pierwszego ministra spraw zagranicznych, na ministra zaś spraw wojskowych został upatrzony Józef Piłsudski, którego uwolnienia nowy rząd energicznie się domagał. Rząd w programowem oświadczeniu stwierdził zupełną niezależność od władz okupacyjnych, a o utworzeniu nowego rządu nie zostały uwiadomione miejscowe władze okupacyjne lecz wprost ministrowie spraw zagranicznych państw centralnych i innych, z którymi korespondencja telegraficzna była możliwa. Na mój telegram do niemieckiego sekr. stanu Solfa, zawiadomiający, „że objąłem urząd ministra spraw zagranicznych i że będę się starał popierać dobre stosunki pomiędzy obu sąsiadującemi państwami", otrzymałem odpowiedź: „Do Jego Ekscelencji ministra p. Głąbińskiego w Warszawie. Najuprzejmiej dziękuję Waszej Ekscelencji za telegram z 24 b. m., w którym mnie pan komunikuje o objęciu przezeń swego urzędu. Mojem dążeniem będzie utrzymać dobre stosunki między sąsiadującemi państwami. Solf, sekretarz urzędu spraw za-

granicznych". Na posła polskiego w Berlinie Rada ministrów powołała ks. Seweryna Czetwertyńskiego, a do Paryża wysłałem delegację z L. Włodkiem na czele, z pełnomocnictwem dla narodowego Komitetu reprezentowania rządu polskiego w państwach koalicji zachodniej.

Przeciw ukonstytuowaniu się gabinetu, na zasadzie pełnej niezawisłości państwowej, niezgodnej z dawniejszym ustrojem okupacyjnym, nie było z żadnej strony sprzeciwu. Lokalne władze okupacyjne zastosowały się w zupełności do tego stanu, a konferencje z niemi odbywane miały na celu wyłącznie jaknajszybsze określenie terminów oddania administracji i opuszczenia przez nie kraju, na co one także się zgodziły. Dowództwo nad wojskiem polskiem przeszło już w dniu 7 października na Radę Regencyjną. Aby zadośćuczynić formie, generał Beseler zawiadomił przy sposobności utworzenia przez Radę Reg. w dniu 25 października urzędu szefa wojska polskiego, że się zrzeka głównego dowództwa nad wojskiem polskiem na rzecz Rady Regencyjnej. Minister pełnomocny Austro-Węgier, Stefan Ugron pismem z 21 października 1918 zawiadomił rząd, że rząd austro-węgierski zrzeka się prawa zatwierdzenia osoby polskiego prezydenta ministrów, na konferencji zaś tegoż z komisją rządową polską w dniu 21 października 1918 ustalono, że rząd polski może natychmiast objąć administrację kraju okupowanego przez Austrję. Komisarzem jeneralnym rządu dla objęcia zarządu cywilnego i gospodarczego w okupacji austro-węg. został mianowany Juljusz Zdanowski. Niebawem w dniu 25 października gubernator lubelski Liposcak zaproponował natychmiastowe zniesienie jenerał-gubernatorstwa wojskowego i ustanowienie komisarza dla spraw likwidacyjnych.

Rząd polski J. Świeżyńskiego był więc nie tylko niezawisłym rządem niepodległej Polski, ale rządem prawnie władającym całym obszarem b. Królestwa Polskiego, uznanym przez władze okupacyjne, które likwidowały swoje sprawy, oddawały administrację cywilną i wojskową w ręce rządu i w oznaczonych terminach opuszczały kraj. Nie można więc twierdzić, że Państwo Polskie w tym czasie nie było niepodległe, że mylili się ci, którzy już w dniu 14 października 1918 lub później obchodzili uroczyście i z entuzjazmem święto wolności i niepodległości, lub rząd, który w odezwach ogłaszał niepodległość Zjednoczonej Polski. Z końcem października zaszły wypadki w Małopolsce i na Śląsku Cieszyńskim, które rozszerzały obszar panowania Polski na b. Galicję — przynajmniej Zachodnią i na Śląsk Cieszyński. Oto w dniu 24 października 1918 w Krakowie odbyły się narady przedstawicieli narodowej demokracji, stronnictwa ludowego i polskiej partji socjalistycznej, które postanowiły powołać do życia polską komisję likwidacyjną przy udziale wszystkich stronnictw, która objęła samodzielny zarząd wszystkich działów życia publicznego w zaborze austrjackim, mianowicie 1) sprawy wojska, milicji i administracji, 2) rolnictwo, 3) oświatę, 4) administrację kraju, 5) finanse, 6) sądownictwo, 7) komunikacje, 8) zdrowotność, 9) pracę i ochronę społeczną, 10) aprowizację, 11) handel i przemysł, 12) roboty publiczne. Przewodniczącymi komisji likwidacyjnej zostali wyznaczeni przedstawiciele trzech głównych stronnictw, a poszczególne działy administracji rozdzielono pomiędzy wszystkie stronnictwa. Na dzień 28 października zwołano do ratusza krakowskiego wszystkich polskich posłów parlamentu austrjackiego, celem powzięcia uchwał i dokonania wyborów. W zebraniu tem wziął udział także rząd polski w osobach ministrów Głąbińskiego i Wład. Grabskiego, przyczem minister Głąbiński zakomunikował zebranym na interpelację posła Daszyńskiego, że sejm polski zwołany będzie z końcem grudnia, a najpóźniej w pierwszych dniach stycznia r. 1919, na podstawie demokratycznej ordynacji wyborczej, będącej w opracowaniu rządu. W dniu 29 października 1918 rada narodowa Śląska Cieszyńskiego proklamowała uroczyście przynależność państwową Księstwa Cieszyńskiego do wolnej, niepodległej Polski, obejmując równocześnie nad niem władzę państwową „zanim ją obejmie rząd zjednoczonej Polski". Powiadomiła o tem rząd krajowy austr. w Opawie i starostwo pow. we Frysztacie dodając, że wszelkie próby oddania władzy w ręce czeskie spotkałyby się z odporem ludności polskiej. W dniu 30 października Rada Narodowa notyfikowała to postanowienie starostwom, zażądała oddania załogi wojskowej pod swoje rozkazy i odebrania od wójtów ślubowania posłuszeństwa. Na wniosek Rady Ministrów, Rada Regencyjna ustanowiła Komisarjat Generalny dla Galicji i polskiej części Śląska. Komisarzem Generalnym dla Galicji mianowano księcia Witolda Czartoryskiego (zastępcą Stefana Bądzyńskiego). Zadaniem Komisarjatu było przejęcie administracji, włączenie tych dzielnic w obręb państwa i zaprzysiężenie urzędników. Dla przejęcia administracji w zaborze austrjackim wyznaczono dzień 4 listopada.

Równocześnie rozwijało państwo polskie, jako zupełnie niepodległe, swą działalność na polu ustawodawstwa.

Dekretem z 26 października 1918 poz. 30 Dz. Pr., ogłosiła Rada Regen. utworzenie ministerstwa spraw zewnętrznych i spraw wojskowych, uchylając postanowienie dekretu art. 20 z 3 sierpnia 1918.

Dekretem z 27 października 1918 ogłoszono tymczasową ustawę o służbie wojskowej, określającą w art. I służbę wojskową jako obowiązek każdego obywatela państwa polskiego, normującą także służbę pomocniczą, czas i rodzaje służby wojskowej. Autorem tej ustawy był szef sztabu, jenerał Tadeusz Rozwadowski, zastępujący w radzie ministrów ministra spraw wojskowych.

Dekretem z 30 października 1918 poz. 33 Dz. Pr. zorganizowano władze polskie na obszarze gener. gubern. lubelskiego.

Dekretem z 30 października 1918 poz. 32 postanowiono wypuścić pożyczkę państwową, zabezpieczoną całym majątkiem państwa polskiego.

W okresie październikowym roku 1918 powstało więc państwo polskie jako państwo niepodległe na obszarze b. Królestwa Polskiego i części zaboru austrjackiego, z żadnej strony nie kwestjonowane, mające swoją najwyższą władzę w osobach członków b. Rady Regencyjnej, swój rząd, swoje wojsko, swoje władze i urzędy. Przejęciowe funkcjonowanie władz okupacyjnych w części b. Królestwa Polskiego nie ma znaczenia prawno państwowego, ponieważ władze te uznawały zwierzchność państwową Polski i gotowały się do opuszczenia Polski w terminach ustalonych w porozumieniu z władzą polską.

Sporną była wówczas przynależność Galicji Wschodniej do Polski z powodu rebelji „ukraińskiej“, mającej pozory pretensyj prawno-państwowych. Pod wpływem manifestu cesarskiego z 16 października 1918 o przeobrażeniu Austrji w państwo związkowe, odbył się we Lwowie 19 października 1918 Zjazd „ukraiński“ przy udziale posłów ruskich, metropolity Szeptyckiego i radcy Barwińskiego, pod przewodnictwem prezesa klubu parlamentarnego Petruszewicza i utworzyła radę narodową jako „Konstytuantę“. Już przedtem w dniu 10 października lwowskie „*Diło*“ zamieściło odezwę do narodu polskiego, żądającą wybierania między pokojem a wojną w stosunku do „Ukraińców“. Warunkiem dla pokojowego współżycia obu narodów było według tej odezwy zrzeczenie się ze strony polskiej pretensyj do Galicji Wschodniej, do wschodniej Chełmszczyzny i Podlasia. Objawy te były przez Polaków w Galicji Wschodniej zlekceważone, gdyż nie zdawali sobie sprawy z tego, że czynniki militarne w Austrji sprzyjają tym zamiarom. Gdy jako minister spraw zewnętrznych bawiłem w dniach 30 i 31 października 1918 we Lwowie, zapewniał mnie naczelnik hr. Huyn, że wszelkie pogłoski o sprzyjaniu ruskim aspiracjom są mylne, iż on uważa Rusinów za niezdolnych do stworzenia własnej państwowości i oczekuje każdej chwili wiadomości z Wiednia, aby oddać rządowi polskiemu administrację Kraju. Tymczasem w nocy na 1 listopada nastąpił znany zamach ruski na Lwów i na tę część kraju przy pomocy sił wojskowych austrjackich, który narazie podał w wątpliwość panowanie Polski na tym obszarze.

Wydarzenia polityczne w Polsce w ciągu listopada roku 1918, a mianowicie dymisja gabinetu Świeżyńskiego, ogłoszenie w Lublinie rządu ludowego republiki polskiej, powrót Piłsudskiego z Magdeburga i oddanie mu władzy przez radę regencyjną, dobrowolne opuszczenie Warszawy przez Niemców przed terminami, ułożonemi z rządem polskim, wszystkie te wypadki były sprawami wewnętrznemi niepodległego państwa i nie wpłynęły w niczem na zmianę jego stanowiska prawno-politycznego i międzynarodowego.

(Dok. nast.) STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

O SZCZEPIE, KTORY ULEGŁ KATASTROFIE

(NA MARGINESIE PEWNEJ KSIĄŻKI)

BYWA tak nieraz, że losy jakiegoś środowiska, albo tragizm jakiejś chwili dziejowej lepiej, niż uczone rozprawy, oświetla nam jakaś książka, nie roszcząca sobie zbyt wielkich w tym kierunku pretensyj, — pamiętnik, lub powieść, — dająca jednak w formie bezpośredniej prawdziwy, lub uprawdopodobniony, a środowiska owego lub chwili dotyczący — szmat życia. Pragniemy się tu zająć taką książką [1]). Jest to pamiętnik starca, — niemieckiego szlachcica z Estonji (z jej wschodniej, sięgającej prawie pod Petersburg prowincji, zwanej Wierland, — przebywającego dzisiaj na wygnaniu w Niemczech. Nie powinno dziwić zajmowanie się na łamach „Myśli Narodowe“ losami Niemców nadbałtyckich, — szczepu, który, wzięty z osobna nic nas nie obchodzi, a wzięty jako część większej całości jest odłamem wrogiego nam narodu niemieckiego, odłamem, którego likwidacja — likwidacja potężnego posterunku niemieckiego nad wschodnim Bałtykiem — jest dla nas politycznie korzystna. Każde środowisko ludzkie, o ile losy jego się pouczające — jest godne poznania, — a każdy tragizm, niezależnie od tego, czy w życiu przyjaciół, czy wrogów, jest godny szacunku. Z niemczyzną zresztą nadbałtycką sprzęgło nas tyle mocnych nici, w przeszłości zarówno dawnej, jak niedawnej [2]), że posiada ona tytuł zupełnie specjalny do naszego zainteresowania.

Niemcy w Baltikum — jak określane są trzy dawne prowincje Estonji, Inflant i Kurlandji — są jak wiadomo grupą niemieckich osadników i zdobywców (szlachty i mieszczaństwa), usadowioną od czasów średniowiecza na ziemiach podbitych tubylców łotewskich i estońskich (wyzwolonych dziś — i władających dwiema niezależnemi republikami). Jedynie w czasach bardzo odległych koloniści ci, przybywający za morze Bałtyckie bądź w celach kupieckich (miasta Hanzeatyckie), bądź zdobywczo-misjonarskich (zakon Kawalerów Mieczowych),— pozostawali w jakich takich związkach politycznych ze swą niemiecką macierzą. Przez ostatnie cztery stulecia żyli pod władzą państw nie-niemieckich (Szwecji, Polski, Rosji), — dzięki jednak zachowaniu rozległego samorządu, bądź całych terytorjów (Księstwo Kurlandzkie), bądź stanów i miast — utrzymali po dziś dzień swą niemiecką narodowość i nadali całemu krajowi piętno cywilizacyjne wybitnie protestancko-niemieckie. Żyjąc przez wieki całe pod obcemi rządami i będąc zdani na własne wyłącznie siły, wyrobili się na społeczeństwo mocno na wewnątrz zorganizowane, samodzielne, umiejące sobie radzić drogą samopomocy,— bardzo solidarne, konserwatywne, przywiązane do swojej tradycji i swej odrębności — co do struktury z natury rzeczy wybitnie arystokratyczne, — a przytem wysoce naogół kulturalne. Zarówno ich kresowe stanowisko, — na pograniczu rosyjskiego Wschodu, na północy, wkraczającej w po skandynawsku zimną strefę klimatyczną, w oddaleniu ge-

[1]) Eduard Freiherr von Stackelberg-Sutlem „*Ein Leben im baltischen Kampf* (*Rückschau auf Erstrebtes*, *Verloren und Gewonnenes*), — *Deutsches Leben auf äussersten Vorposten (Erinnerungen aus dem Kreise der Kügelgen*, *Seidlitz*, *Sivers*, *Uexküll*, *Dehio und Külpe)*“, Monachjum 1927. I. F. Lehmann Verlag.

[2]) W czasach niedawnych przedewszystkiem wiele analogij w bytowaniu pod zaborem rosyjskim — oraz ten fakt, że niemieckie z ducha, a początkowo i z języka szkolnictwo nadbałtyckie (szkoły średnie, oraz uniwersytet w Dorpacie i politecnika w Rydze) było — w braku zniszczonego szkolnictwa polskiego — wychowawcą kilku pokoleń inteligencji polskiej z niektórych dzielnic, zwłaszcza z Litwy, która prawie bez wyjątków kształciła swoich synów w Baltikum. Jest to tytuł do pewnej wdzięczności z naszej strony, że inteligencja ta wychowana została w atmosferze Zachodu i ustrzegła się przed destrukcyjnym wpływem ducha rosyjskiego — lecz również i do ubolewania, że nabrała wskutek tego zaufania i upodobania do cywilizacji niemieckiej, traktowanej — wobec wspólnego, rosyjskiego wroga — jako cywilizacja sojusznicza i przyjazna, — co stało się przyczyną, że obok Krakowa, ziemie północno-wschodnie są dziś najbardziej podatnem na suggestje germanofilskie środowiskiem w Polsce.

ograficznem od głównych ośrodków niemczyzny — jak też republikański arystokratyzm ich struktury społecznej i typu cywilizacyjnego — upodobnia ich pod wielu względami do niektórych naszych środowisk kresowych.

Społeczeństwo Niemców nadbałtyckich—utrzymujące się na wszystkich placówkach, czujące się panem swego kraju, — przetrwało aż do naszych czasów. Pierwszą klęskę zadał mu rozwój miast w kraju, pociągający za sobą napływ do nich wychodźców z łotewskiej i estońskiej wsi, którzy — pod wodzą swej młodej inteligencji—szybko w miastach tych stare mieszczaństwo niemieckie zmajoryzowali. Druzgocący cios spadł na nadbałtycką niemczyznę w postaci estońskiej i łotewskiej, powojennej reformy rolnej, która baronów niemieckich pozbawiła ziemi — niwecząc ich uprzywilejowane stanowisko w kraju. Dzisiaj Niemcy w Estonji i Łotwie są wprawdzie mniejszością narodową, posiadającą stanowisko mocne, wpływy rozległe, przyszłość narodową zapewnioną,—władcami kraju już jednakże nie są i bodaj nigdy nie będą. Ta katastrofa niemieckiego Baltikum nasuwa nam znów analogję z naszemi kresami: Ukrainą, Białorusią, Inflantami Polskiemi (koło Dynaburga),—a nawet Litwą Kowieńską[3]). Katastrofa ta jest z jednej strony mniejsza od naszej, bo przygotowana była dokonaną bądź co bądź emancypacją narodową Estończyków i Łotyszów—z drugiej strony większa, bo z silniejszej pozycji, nieuszczuplonego w tym stopniu co Polaków na kresach, stanowiska supremacji politycznej — Niemców nadbałtyckich strącająca.

Ale powróćmy do na wstępie wymienionej książki,—do pamiętnika barona von Stackelberg — Sutlem. W tym, opartym na mądrości życiowej, na doświadczeniu starego człowieka, oraz na rzetelnej wiedzy, gruntownym osobistym i plemiennym rachunku sumienia, znajdujemy rozważania z trzech szczególniej dziedzin, zasługujące na przytoczenie.

Pierwszą z tych dziedzin — szczególnie dla autora pamiętnika dręczącą — jest kwestja przyczyn rozłamu niemiecko-estońskiego. Ciekawe to zagadnienie i dla nas przez to, że nasuwa wiele analogij z rozwojem separatyzmów naszych własnych (litewskiego i ruskiego) — i dostarcza sporo materjału myślowego do oceny również i powojennych naszych zagadnień kresowych. Stosunki między niemiecką szlachtą a estońskim ludem układały się ongiś harmonijnie i życzliwie. Z opisu stosunków estońskich, skreślonego w pierwszych rozdziałach pamiętnika, urabiamy sobie pojęcie o tych stosunkach, mniej więcej zbliżone do pojęcia o stosunkach na Litwie w czasach Weyssenhoffowskiego „Sobola i Panny". Ale potem—naraz coś się w tym układzie rzeczy zmieniło. „Myśmy ledwo zaczynali w Estończykach i Łotyszach wyczuwać przeciwników — gdy napotkaliśmy z ich strony tu i owdzie już dziką nienawiść". Skąd się to wzięło? Stackelberg nie próbuje na to szukać odpowiedzi. Informuje tylko o kolejnych etapach tego dziejowego procesu emancypacji narodowej, — o wcześniejszem narośnięciu antagonizmów w demokratycznem środowisku miejskiem, niż na patrjarchalnej wsi, — o roli Rosji, a nawet prawosławia (które zdobyło sobie w latach czterdziestych ub. wieku pewną liczbę wyznawców pośród estońskiego ludu) w rozwoju ruchu estońskiego, o szybkiem krzepnięciu estońszczyzny od początku obecnego stulecia. Informuje również o usiłowaniach, mających zerwaniu niemiecko-estońskiemu zaradzić, ze strony niemieckiej w swoim czasie poczynionych. Przedewszystkiem o usiłowaniu zawarcia z Estończykami — ugody. Ugoda ta — jak wszędzie w podobnych wypadkach — spaliła na panewce. Prawicowi działacze estońscy, — Estończycy *„von Besitz und Bildung"*, których się starano pozyskać, — okazali się w chwili krytycznej solidarni z resztą swojego narodu. „My, Estończycy, — oświadczyli niemieckim baronom, — czerwoni i nieczerwoni, chrześcijanie i poganie, bogaci i biedni, musimy iść już dalej razem, — *durch dick und dünn*. Ani my wam, ani wy nam nie możecie być w niczem pomocni". W pamiętniku Stackelberga są również pewne echa nastawań „krajowych", jest zwłaszcza ubolewanie, że koncepcji „krajowej" (koncepcji wytworzenia w Estonji jednolitego, na tle solidarności mieszkańców jednej ziemi, niemiecko-estońskiego frontu przeciw Rosji) — nie starano się dostatecznie wcześnie wcielić w życie. Rzecz ciekawa jednak — w całej książce ani razu nie przewinęła się myśl wciągnięcia, w niemieckiej bądź co bądź atmosferze cywilizacyjnej wychowanych, Estończyków, zwłaszcza młodej inteligencji estońskiej, chłopskiej z pochodzenia — w orbitę szerszego oddziaływania cywilizacji niemieckiej, zainteresowania jej życiem niemieckiem, lokalnem i ogólnem, — poprowadzenia na drogę choćby tylko polityczno-kulturalnej, jeśli już nie językowej koniecznie — asymilacji. Czyżby dla asymilacji tej nie było — pod obcem, rosyjskiem panowaniem w Estonji warunków? Cytowany przez Stackelberga fakt germanizowania się Estończyków, Łotyszów, Szwedów w dorpackich korporacjach studenckich zdaje się temu zaprzeczać. Czy może koncepcja ta nie przyszła zaśniedziałym bądź co bądź w swym konserwatyzmie Baltom poprostu do głowy? Nie rozstrząsajmy tej kwestji. Możemy w każdym razie Bogu dziękować, że germanizacja (choćby tylko polityczna) Estończyków i Łotyszów się nie dokonała — i że nie posiadamy za północnych sąsiadów, poza Prusami Wschodniemi, jeszcze niemieckiej Kurlandji, Inflant i Estonji. W każdym razie — dostarczone przez Stackelberga pamiętnikarskie oświetlenie przebiegu emancypacji młodej, lecz niewątpliwie już skrystalizowanej politycznie i kulturalnie, a zaprzyjaźnionej teraz z nami narodowości estońskiej, — oświetlenie ze strony niemieckiej, drugostronnie uzupełniające znane już naogół w Polsce oświetlenia tej kwestji estońskie — nie jest pozbawione wartości.

Drugą kwestją, budzącą w pamiętniku Stackelberga zajęcie, jest oświetlenie roli szczepu bałtyckiego w łonie narodowości niemieckiej. Jest wiele dumy w sformułowaniu tej roli: Baltowie czują się szczepem odrębnym, mającym żywot własny, tworzącym żywotny, samoistny organizm — a nie luźną tylko grupę Niemców poza granicami Niemiec. Za Niemców zresztą nie przestają się uważać. Ich dawna lojalność wobec Rosji jest w istocie lojalnością wobec dynastji rosyjskiej — i z ich poczuciem narodowem bynajmniej nie stoi w kolizji. „Wszak ci władcy byli w gruncie rzeczy książętami z niemieckiego domu, — synami niemieckich matek!" Ich poczucie łączności narodowej z Niemcami z Rzeszy z biegiem czasu wzrasta, — węzły z Rosją rozluźniają się znacznie. *„Blut ist dicker als*

[3]) Gdzie zresztą — zarówno jak na Inflantach — trwa czynnik polskiej siły narodowej, którego Niemcy nadbałtyccy byli pozbawieni: polski lud wiejski.

Wasser!" W rozdziałach, dotyczących dziesięcioleci ostatnich, hasło wcielenia Baltikum do Rzeszy wysuwane jest bez żadnych zastrzeżeń.

Ale z drugiej strony — Stackelberg na Niemców z Rzeszy patrzy nieco zgóry — i nie szczędzi cierpkich słów pod ich adresem. Uważa, że Baltowie są rasowszymi przedstawicielami niemczyzny, niż oni — i aby to twiedzenie wzmocnić przypomina, że analogicznie i Franko-Kanadyjczycy są lepszymi, mocniej związanymi z narodową tradycją Francuzami, niż Francuzi w Paryżu.

Trzecią interesującą kwestją w pamiętniku Stackelberga jest jego stosunek do nadbałtyckiej tradycji. Stackelberg uważa Baltikum za utrzymaną pod panowaniem Rosji grupę wysoce staroświeckich „republik stanowych". Stosunki w Baltikum określa jako feodalne. W tej feodalnej i stanowej tradycji Baltikum widzi arystokratyczne piękno — a w jej utrzymaniu — posłannictwo dziejowe swego plemienia. Jego przywiązanie do tradycjonalistycznego środowiska dawnego Baltikum i jego atmosfery, charakteryzują dobrze zawarte w pamiętniku wspomnienia, jak naprzykład poniższy opis towarzystwa, zgromadzonego na jakiejś uroczystości ziemiańskiej w Estonji przed paru dziesiątkami lat: „Tam były naprawdę piękniejsze kobiety, szlachetniejsze, smuklejsze postacie męskie, niż gdziekolwiek, ktokolwiek przy wspólnej biesiadzie mógłby je dziś razem spotkać. I oni wszyscy mieli sobie coś do powiedzenia; byli jednolicie urobieni co do wykształcenia i smaku, bo mieli kulturę, — to znaczy byli w swoim gatunku autentyczni i nie chcieli przedstawiać sobą nic innego, niż to, czem byli w istocie".

Pod koniec książki Stackelberg cytuje (w dłuższym urywku) m. in. następujące zdanie O. Spenglera: „Wszystko, co narody XX wieku otrzymały z dawnego i wielkiego dziedzictwa, jeśli chodzi o doświadczenie, które weszło w krew, wznosi się do znaczenia mocy — nie mającej sobie równej. Twórczy pietyzm, albo — ujmując to głębiej — pradawny rytm z zamierzchłej przeszłości, który kształtując wolę, działa dalej, obdarzając nas formami, starszemi, niż Napoleon i rewolucja, narosłemi, a nie stworzonemi sztucznie. Każdy, nawet najskromniejszy szczątek tego wszystkiego, przechowujący się w bycie jakiejkolwiek, zamkniętej w sobie mniejszości, wzrośnie niedługo do niezmierzonej wartości i sprowadzi skutki dziejowe, których możliwości nikt dziś nie przypuszcza. A więc pozostałości dawnej monarchji, dawnej szlachty, dawnego wytwornego towarzystwa, — jeśli są one jeszcze dość na to zdrowe, by politykę, traktowaną jako interes, lub jako wyraz abstrakcyjnej doktryny, trzymać od siebie zdala — i jeśli posiadają honor, ducha poświęcenia, męskość i poczucie wielkiego posłannictwa. Właściwości dobrej rasy, — a więc tresura („*Zucht*"), duch obowiązku i ofiary, mogą się stać punktem środkowym, który utrzyma nurt bytu całego narodu".

Stackelberg dodaje po tych słowach: „Przy takiem pojmowaniu — posiadało życie bałtyckich społeczności rycerskich oraz miejskich patrycjatów w ostatnich dziesięcioleciach ich rzeczywistego istnienia — i tak samo również życie mojej skromnej osoby w ramach jednej z tych niewspółczesnych republik szlacheckich — sens bynajmniej nie zaślepionego romantyzmu bez przyszłości i celu, — nie odstraszającego przykładu po katońsku usposobionej niezdolności do rozwoju, — lecz głębokie znaczenie wykonania otrzymanego posłannictwa, chociażby nawet w rozmiarach tak skromnych".

W takiem oświetleniu tem większej mocy nabierają znajdujące się w innem miejscu książki słowa o katastrofie Baltikum: „Był to nasz los, — nie w znaczeniu ślepego *fatum*, bo w znaczeniu spełnienia się pewnej formy życia. Była ona stworzona do niepoddania się, do „chronienia swej wolności" i dlatego przeznaczona raczej do runięcia w trzasku katastrofy, niż do potulnego, klatkowego współżycia w menażerji potężnego Cara".

Inny tu ton, niż w pamiętnikach naszych kresowców (np. Kossak-Szczuckiej, Dunin-Kozickiej, Dorożyńskiej, — także pracach Urbańskiego), w których, poprzez ból i bunt, zdaje się dźwięczeć podświadoma nadzieja powrotu choćby w dalszych pokoleniach, — tyleż jednakże tragizmu.

Książka Stackelberga otwiera nam oczy na ważny bądź co bądź strzęp dziejów obchodzącej nas niemało ziemi, przez wody naszego morza omywanej i od północy z nami graniczącej.

WIEL.

O „ZŁOTEJ WOLNOŚCI" SZWEDOM SŁOW KILKORO

PRZEDMOWA DO PRZEKŁADU

POWIEŚĆ p. Zofji Kossak-Szczuckiej, przyjęta z entuzjazmem przez polską publiczność, nigdzie zagranicą nie może liczyć na lepsze zrozumienie, niż w Szwecji. Po pierwsze, ponieważ mowa w niej o naszych rzeczach wspólnych (nawet Moskwa była terenem równoległej akcji wojennej i dynastycznej obu gałęzi Wazów). Powtóre, ponieważ szwedzka historjografja, zwłaszcza w osobie Helge Almquista, zrobiła dużo dla zbadania północno i wschodnio-europejskich spraw owej doby. Po trzecie, naród, który dał literaturze światowej przepiękną opowieść Heidenstama „Karolinerna" i który poznał się na skarbach artystycznych „Potopu", zasmakuje niechybnie w obrazach, jakie przed nim roztoczy najwybitniejsza w Polsce po Sienkiewiczu powieściopisarka historyczna.

Stosunki, których przekrój daje p. Kossak-Szczucka, pociągały zdawna poetów i beletrystów. W Niemczech Schiller i Hebbel, w Rosji Puszkin i Aleksy Tołstoj, w Polsce Krasiński i Nowaczyński z umiłowaniem pogrążyli się w epoce Zygmunta III, Godunowa i Samozwańców. Bo też były to czasy bujne, barwne, napozór chaotyczne i pełne kontrastów, ale też pełne szczególnego sensu dziejowego.

Złota wolność, jak ją rozumiał Piotr Skarga, polegała na tem, że Polak służył nie tyranom, lecz

bogobojnym królom, których sam sobie obierał. Ale w pojmowaniu ogółu szlachty obejmowała ona cały bezmiar swobód i przywilejów, nagromadzonych od XIV wieku: wolność od podatku i służby wojskowej, nietykalność majątku i osoby, udział w prawodawstwie i samorządzie, niezależność sądownictwa, stanowczy wpływ na politykę zagraniczną dworu, wreszcie prawo elekcji królów i detronizowania ich, jeżeli naruszą konstytucję, lub pakt zawarty z narodem. Blisko miljon obywateli oddycha taką wolnością; państwo wspiera się na dobrej woli suwerennych a patrjotycznych jednostek — i wspiera się widocznie dość mocno, skoro je otaczają zewsząd zazdrośni sąsiedzi: Moskal, Tatarzyn, Turek, Siedmiogrodzianin, Brandenburczyk, Szwed, a ono trwa przez wieki, i jeszcze Europę osłania przed barbarzyństwem wschodu.

W czem tajemnica tej dziwnej tężyzny? Oczywiście w ludziach, nie w urządzeniach. Polska czasów Zygmunta III pamięta jeszcze świetność Jagiellonów i wielkie drgnienia humanizmu i reformacji. Tętni ona bogatem życiem politycznem, gospodarczem, religijnem; góruje rozlaniem i napięciem ducha obywatelskiego. Ceni w sobie (i przecenia) te ukryte energje, które naród wolny łatwiej ze siebie dobywa, niż państwo sztucznie ściśnięte, wymusztrowane, wymęczone przez despotyzm. Ją stać na tolerancję nawet dla skrajnych sekciarzy, Farnowskich i Wiszowatych, którychby nie zniosła u siebie ani Europa katolicka, ani protestancka, bo *„dulcis sanguis Polonorum“* do nocy św. Bartłomieja nie dopuści. Stać ją na nierówności i rozdźwięki społeczne, bo górny miljon uprzywilejowanych, nietyle siłą, ile wyższą kulturą polityczną utrzyma w karbach niezadowolone żywioły. Stać na buntownicze porachunki z królem, skoro już dała sobie radę w sieroctwie bez królów, po Jagiellonach i Batorym. Stać na klęski żywiołowe, bo rasa polska przeżyje i mór i głód, i ogień i sporadyczne wybryki dzikich elementów. Stać zwłaszcza na słaby rząd i słabe liczebnie wojsko, bo w najgorszym razie naród się zbiegnie w jedno ognisko, wytworzy jednomyślną wolę, i przełamie przeszkody — a głodny żołnierz Chodkiewicza i Żółkiewskiego w imię wolności dokaże cudów. Obce narody garnęły się pod skrzydła Jagiellonów, i nadal tęsknić będą do Polski z pod ucisku swoich tyranów.

Tak mniema o sobie i marzy złota wolność w momencie dziejowym, kiedy jej los kazał rozstrzygnąć główne zagadnienie życia i ekspansji. Król Zygmunt, ambitny jak Habsburg, ale łagodny jak Jagiellończyk, reprezentował ten zachodni sposób myślenia, według którego naród, zwłaszcza obdarzony tak szeroką wolnością, musi dbać o swoją moralną i religijną jedność, duża część szlachty tej prawdy oczywistej dla Szwedów, Niemców, Francuzów, Anglików, wolała jeszcze nie widzieć. Król przypominał zagrożone interesy państwa na Bałtyku; magnaci wabili i pociągnęli samego króla na bezkresny wschód. Bo tam za Dnieprem ogromne państwo, „carstwo strachu i przymusu“, skruszone młotem Iwana Groźnego, podcięte społeczną anarchją, chyliło się w ramiona Polski: już jej urządzenia wraz z osobą królewicza Władysława przyjmują bojarzy, już je gotowe przyjąć niższe warstwy, gdyby się nie bały szlacheckiego ucisku, lub gdyby się musiały liczyć nietylko z polską ideą, ale i z polską siłą. Krótko mówiąc: gdyby Żółkiewski miał w Moskwie nie 5 lecz 50.000 wojska. Bez tej realnej orężnej podstawy rozwiewa się w nicość zarówno sen Zygmunta III o podboju Moskwy na korzyść katolicyzmu, jak i sen Żółkiewskiego o zaślubinach narodów i wiar przed ołtarzem wspólnej wolności.

Zostaje na scenie—wprawdzie już za kulisami powieści Kossak-Szczuckiej—czynnik trzeci, *tertius gaudens*, książe Karol Sudermański, bezwzględny i wyrachowany, w polityce nieubłagany, wytrwały w klęsce. Otaczają go dostojnicy krwi arystokratycznej, podobnie jak polscy hetmani, marszałkowie, kanclerze, podskarbiowie. On także ma pod sobą mniejszość wyznaniową i ma szlachtę rozmiłowaną w dawnej wolności. Szwedzka dziedziczna królewskość, bardzo świeżej daty (*arfföreningar* 1540, 1544, 1569, 1590), znajduje się w zawieszeniu: Karol chwilowo jest tylko *„utkorad konung“*. Jeżeli Polacy umieją się konfederować, to i Szwedzi zawierają polityczne związki (*Söderköping* 1595, *Arboga* 1597) dla celów domowej wojny i samoobrony. Polskim *„pactom conventom“* odpowiada świeży szwedzki *„konungaforsäkran“* 1594 r.; jeżeli polskie wojsko politykuje, to i szwedzkie, właśnie od końca XVI wieku próbuje, jako *„krigsbefälet“* wywierać nacisk na sprawy państwowe. Polacy myśleli dopiero i gadali o detronizacji—Szwedzi już wypraktykowali ten zamach dwukrotnie (1568, 1599). Słowem trudności rozlicznych, zwłaszcza w kraju, nie brakło, ale Książę Sudermański sprostał im dzięki temu, że nie dał się szerzyć w Szwecji złudzeniom, jakie niosła polska złota wolność: że wolno panom wchodzić w konszachty z zagranicą, wolno mniejszości rozpruwać sejmy i zjazdy, że godzi się poświęcać dziesięć miljonów pospólstwa dla dobrobytu miljona szlachty, że można bezkarnie rozluźniać jedność religijną wierzącego narodu, że można zjednywać carstwa przez pozyskanie tylko bojarów...

Wiadomo, jakich środków chwycił się Karol IX dla dopięcia swych celów. Złączył się z ludem przeciw arystokracji, dla podejrzanych panów ustawił *„släktarebank“*, a na wytępienie resztek katolicyzmu użył sposobów, o jakich polscy oskarżyciele „fanatycznego“ Zygmunta nie mieli wyobrażenia. Interwenjując w moskiewskich zawichrzeniach, nie spuszczał z oka głównego celu—szwedzkiego panowania nad Bałtykiem, narodowi swemu poskąpił złotej wolności, zostawiając tylko taką skromną, żelazną, jaka wystarczy do obrony interesów narodowych na szereg pokoleń.

Dziś polska złota wolność, podobnie jak bałtyckie władztwo „starej, wolnej“ Szwecji, i moskiewski, prawosławny carat, należy do przeszłości. Za Żółkiewskim (z powieści) cała Polska powiedziała sobie nie dopiero w XX ale w XVIII wieku, w epoce wielkich reform: „życie zawdy czas zacząć od nowa“. To też nie dla nasuwania jakichś aktualnych refleksyj skreśliliśmy tych kilka słów. Pragnęliśmy tylko, nie wdając się w obszerne komentarze co do zjawisk obyczajowych i religijnych, stanowiących tło powieści Szczuckiej, udostępnić szwedzkiemu czytelnikowi ten zapomniany i odległy świat, którego ogólny koloryt z niezwykłą wiernością historyczną przedstawiła autorka. Z jakim zaś uczyniła to talentem, osądzi łaskawy czytelnik.

Kraków WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

NA WIDOWNI

Świadectwo z Krakowa. — Czemu młode pokolenie jest narodowe.—Daremne próby narzucenia fałszu dziejom [1]).

PRZED kilku dniami pisał w „Gazecie Warszawskiej (3. I-31) prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Władysław Konopczyński:

„Bezeceństwa, które w starszem pokoleniu wywoływały tu i ówdzie lęk, a nawet podziw, wyzwały Młodych do zdwojonej pracy i walki. Niepodobna wspomnieć bez serdecznej wdzięczności tych zastępów początkujących działaczów i działaczek, jakie oddały Stronnictwu Narodowemu swe siły w ubiegłej kampanji wyborczej. Żaden inny obóz polityczny nie może poszczycić się niczem podobnem...

Nic ich nie zniechęcało: prosto z pod „Telegrafu", jak się w Krakowie nazywa miejsce aresztu śledczego, wracali, niewyspani, głodni, na posterunek. „Jakże tam było? Cóście robili?" — Było pysznie. Śpiewaliśmy, ryczeliśmy naszą przerobioną „brygadę". — A ich nagroda? W czasach, gdy zwykła, ledwo piśmienna „hjena" bierze za dniówkę 10 złotych, a jedynkowy pałkarz za rozbijanie wieców i łamanie kości — 30 złotych, ci pracowali bezinteresownie. Ich nagrodą na dzisiaj głód, zaziębienie, dymisja z rządowej posady, stracona nadzieja chleba, złamany palec, kilka ran tłuczonych na głowie, czasem — sieroctwo, gdy ojciec umarł na wieść o aresztowaniu syna".

Żaden szczegół tu wymieniony nie jest literackim obrazem, każdy jest zdarzeniem rzeczywistem, które było, co do którego mogłyby być zacytowane nazwiska i daty. Długi szereg takichże przykładów możnaby wyliczać kolejno we wszystkich dzielnicach Rzplitej. Ale nie o roztkliwianie się chodzi, ani o pochwałę. Uderza przedewszystkiem stwierdzenie: „Żaden inny obóz polityczny nie może poszczycić się niczem podobnem". Gdzież przyczyna tego zjawiska, czemu właśnie prąd myśli wszechpolskiej staje się dziś tak zrozumiały, tak bliski, taki pociągający dla wzrastającej stale gromady młodych, wbrew wysiłkom propagandy oficjalnej w szkole i poza szkołą, wbrew praktycznym wyrachowaniom życiowym, niejednokrotnie naprzekór wpływowi atmosfery domowej i „lojalnym" tradycjom rodziny?

Cechę znamienną, odróżniającą ruchu wszechpolskiego od początku stanowiło to właśnie, że nieliczna garść tych, którzy go stworzyli, to byli ludzie o psychice członków narodu niepodległego, nie wykoszlawionej pod wpływem niewoli, wolni wewnętrznie, umiejący myśleć i rozstrzygać o sprawach polskich nie pod działaniem niewolniczego odruchu zemsty i nienawiści, ani też jeszcze bardziej niewolniczej uległości, poddania się, ukorzenia wobec przemocy. W tej psychice twórców obozu wczechpolskiego kryło się główne źródło jego siły i jego słabości zarazem.

Siły — bo tylko ludzie o takiej postawie duchowej zdolni byli zdobyć się na realny program polityczny, wiodący do odbudowania Państwa, wytworzyć system naprawdę niezależnej, polskiej myśli politycznej, świadomej swojego celu, w Polsce samej, nie zaś w tym czy innym stosunku do zaborcy, posiadający swe podstawy i swe uzasadnienie. Żeby powstało samodzielne Państwo Polskie w dzisiejszych swoich granicach, musiała przedtem zrodzić się samodzielna polityka polska, która do odzyskania tego Państwa doprowadziła.

Słabości — bo ludzi o psychice członków narodu niepodległego, w społeczeństwie od stu lat żyjącem w niewoli, z konieczności nie mogło być wielu: tylko bardzo nieliczne jednostki, wyjątkowo mocno zespolone duchowo z Polską na całej przestrzeni jej dziejów, mogły być zdolne uodpornić się dostatecznie na rozkładowe oddziaływanie dnia bieżącego, poniżającej, łamiącej dusze codzienności życia pod obcem władztwem. Dlatego też wówczas nawet, gdy kierunkowi wszechpolskiemu udawało się, w pewnych momentach, uzyskiwać poparcie szerokich kół opinji, poparcie to nie wypływało bynajmniej z głębszego i szerzej sięgającego zrozumienia jego metod politycznych i jego założeń. Stąd błędy i niedociągnięcia szeregu wybitnych nawet „wykonawców" i sojuszników polityki narodowej, stąd rozłamy, „frondy", „secesje" wtedy właśnie, kiedy twórcy ruchu wszechpolskiego najwyraźniej formułowali jego zasady i najdokładniej stosowali je w swojej działalności.

Dzisiejsze młode pokolenie polskie wzrasta w państwie niepodległem i oczywistość tego podstawowego faktu jest tak potężna, że wobec niej pozostają bezskuteczne wszelkie wysiłki dla utrzymywania w niem dawnych, pseudo-romantycznych kultów, niewolniczych sposobów myślenia i nastrojów. Na nic nie przyda się tu żadna propaganda, urzędowa literatura, oficjalne obchody. To co dawniej dostępne było wyłącznie jednostkom wybitnym, wyjątkowym, dzisiaj, po odbudowie Państwa Polskiego, w normalniejszych warunkach życia narodu, w sposób konieczny, naturalny zaczyna kształtować się w psychice każdego, kto w nich rodzi się i w nich się wychowuje. Młody Polak, także i w sprawach publicznych myśli już dzisiaj i odczuwa, jak człowiek normalny, cóż dziwnego, że gniew w nim wywoływać muszą nienormalności, często nie rażące tak silnie ludzi z epoki zaborów, że całem sercem młodzieńczem lgnąć musi ku tym, nielicznym, w poprzedniem pokoleniu, których rozumie, którzy w latach najcięższych niewoli potrafili zachować duszę wolną, tworzyć myśl polityczną narodu niepodległego, zanim jeszcze swą niepodległość odzyskał.

Z dnia na dzień wzrasta upór i gwałtowność z jaką szerzona jest i podtrzymywana oficjalna „legenda", ludzie z epoki niewoli wyobrażają sobie, że przy pomocy przymusu państwowego, urzędowych podręczników szkolnych, agitacji, uda im się zakrzyczeć prawdę historyczną, narzucić swój sposób myślenia, swoją psychikę, jako coś „obowiązującego" następne pokolenia. Z pośpiechem, jakby nie było jednego dnia do stracenia, buduje się po miastach i miasteczkach pomniki i pomniczki. Nad utrzymaniem i umocnieniem kultu „legendy" w duszach współobywateli, pracują usilnie a hałaśliwie: Związek Literatury Subwencjonowanej, Stowarzyszenie Płatników Podatków (Sekcja Starania o Ulgi i Odroczenia). Koło Żon Oficerów, Pragnących Awansu, Zrzeszenie Romantycznych Policjantów, Klub Gorliwych Żandarmów...

A jednocześnie w pokoikach studenckich, obok „kursów", zeszytów i podręczników, na stolikach leżą książki Dmowskiego, Wasilewskiego... Kształci się, formuje swoje poglądy i przekonania nowe pokolenie inteligencji polskiej, pokolenie Polski Niepodległej.

Coraz żywszą, świeżości pełną barwą zieleni się nowa ruń na niedawnym ugorze. Ale właśnie ludzie sprytni, najpraktyczniejsi ludzie „dnia dzisiejszego" pozbawieni są daru słyszenia, jak rośnie trawa...

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Na zluzowanie starszego pokolenia pisarzy podąża we wszystkich dziedzinach młodsze. I nasze „Na widowni" zyskuje nową siłę w osobie red. Jana Rembielińskiego, który odtąd pisywać tu będzie na zmianę z senatorem Z. Wasilewskim. W ten sposób feljeton nasz, jako punkt obserwacyjny, będzie wzmocniony i przyszłość jego zapewniona. — RED.

GŁOSY

MARSZAŁEK JOFFRE

KIEDY we Francji umiera Człowiek, cały świat przywdziewa żałobę. Z podziwem i miłością dla swej sojuszniczki stwierdzić to musi każdy Polak, a zarazem z westchnieniem.

Wielkie cywilizacje, które przebyły dawno proces krystalizacyjny, stawiają na świeczniku ludzi, w których się streszcza wszystko, co jest dodatniego w narodzie historycznym. Według wartości tych ludzi oceniać można gatunek rasy i cywilizacji. Czy podobna pomyśleć większą chwałę dla ojczyzny, jak możność pokazania światu w apoteozie pośmiertnej takich ludzi, jak Foch lub Joffre:

— Oto przedstawiciele naszej kultury duchowej, naszej dzielności, naszego rozumu, naszej cnoty, naszego honoru!

Armja narodowa z natury rzeczy stanowi najbardziej prawidłowe uszczeblenie społeczne dla charakterów i talentów. Wszystko tam organizowane po to, aby mogły się one wydobyć. Wojna daje im dostęp na szczebel wiedzy dla całego świata, w glorji Łuku Trjumfalnego. Dzieje się tak w społeczeństwach kulturalnych i zorganizowanych w duchu narodowym, gdzie wszelkie decyzje wolne są od przypadku. W wyborze Człowieka naród szczęśliwy się nie myli; tam i Człowiek nie może się pomylić, gdzie front dla niego; z kim ma walczyć i o co; nie położy na szalach swej osoby przeciw narodowi; nie zlekceważy oparcia, jakie państwu dają moralne wartości narodu; i nie zdobywa piedestału siłą.

Joffre — podobnie jak Foch — był człowiekiem skromnym: mają to do siebie ludzie pracy i zasługi, że się nie ubóstwiają, bo stanowisko jest ich naturalną przynależnością, a im wyższe, tem cięższą obarcza ich odpowiedzialnością. Raczej pokorę wypracował w sobie Joffre w sierpniu i wrześniu 1914, w kampanji zakończonej Marną, kiedy dźwigał na barkach odpowiedzialność za losy Paryża, Francji i całego świata cywilizowanego. Od takiej pracy bieleje włos, a potem, gdy mowa o zwycięstwie, łzy rozrzewnienia odbierają mowę. Być piastunem genjuszu narodu swego, to zaszczyt, ponad który człowiek istotnie wielki nie potrafi się wywyższyć. Taki człowiek zdobył tajemnicę misterjum, które dane mu było spełnić od ducha narodu; pycha nie ma tu dostępu.

Joffre nad Marną i w ciężkich walkach 1915 i 1916 r. pracował dla Polski. W coby się obróciły nasze nadzieje, gdyby Marna zawiodła? Czyją byłaby Wisła?

Polska nad grobami Focha i Joffre'a widzi światłość orjentacyjną. Zazdrości tych mężów Francji. Swoich obrońców Ojczyzny na ich wzorach kształcić będzie. A da Bóg i nasi wodzowie narodu, jak dawniej już bywało, widni będą na cały świat ze swego genjuszu narodowego.

Polska dotrzyma Francji stylu; w niedługim czasie to się pokaże. Narody te, porozumiewające się cudami Marny i Wisły, nie zawiodą się na sobie. To ślubować możemy na grobach wielkich bohaterów wspólnej sprawy.

W.

„WYCHOWANIE PAŃSTWOWE“ W „ZRĘBIE“

JAKKOLWIEK, pisząc o dwóch pierwszych zeszytach „Zrębu“, przyczyniliśmy się niewątpliwie do wzmożenia wygórowanej samooceny zespołu, redagującego ten kwartalnik, to jednak musimy wspomnieć jeszcze i o trzecim zeszycie (Lato 1930), ponieważ wypełniają go referaty, wygłoszone na kursie „wychowania obywatelskiego“, zorganizowanym przez grupę „Zrębu" w końcu ub. roku szkolnego. Trzeba zaś, ażeby opinja była poinformowana o „ideologji“, szerzonej wśród nauczycielstwa przez te sfery, „współpracujące z rządem“.

Jak w dawnej anegdocie o „słoniu—i sprawie polskiej“, wszystko łączy się tu z „wychowaniem państwowem“. P. Stanisław Baziński — skromnie zresztą ukryty na jednem z dalszych miejsc numeru—nawet mówiąc o „Nauczaniu języków obcych jako dyscyplinie wychowawczej“ potrafił doprowadzić w konkluzji do „Budowniczego niepodległości“, który „wyrąbał“ także, jak się dowiadujemy, „drogi wychowania“:

„Nauczyciel bierny, tylko wykonawca, zacieśniony do horyzontów swej „specjalności“, lub aktywny dla ideałów swej kapliczki partyjnej, albo zorjentowany jeszcze według egoizmów „dzielnicowych“, nazbyt łatwo zapomina o dziecku samem, powierzonem mu nietylko przez rodziców, nietylko przez ugrupowania ideowe (?), stanowe (?) czy terytorjalne (?) (na innem miejscu autor, unikając wzmianki o narodzie, mówi o „plemiennych“ właściwościach dzieci. Przyp. ref.), lecz w publicznej szkole powszechnej nadewszystko przez dzisiejsze (!) państwo polskie, strukturę społeczną nadrzędną, organizującą, porządkującą całokształt sił, z których się składa, ku swemu rozwojowi.

„Niezłomne żywimy przekonanie, że drogi tego wychowania, wyrąbane przez pierwszego Budowniczego naszej niepodległości, nietylko mieczem na zasiąg dzisiejszego terytorjum Polski, ale całem jego życiem, poświęconem bez reszty wychowaniu ku przyszłej wielkości duchowej obywateli tego państwa — są wspólnemi drogami — cel Jego — wspólnym celem całego polskiego nauczycielstwa“.

Nie zaglądajmy jednak niedyskretnie w bardziej ukryte miejsca „Zrębu", ale zwróćmy się raczej do referatu, wysuniętego na czoło zeszytu, choć, jak z pierwszego jego zdania wynika, był wygłoszony na końcu kursu. Chodzi bowiem o postać czołową. Autorem jest p. Janusz Jędrzejewicz, a tytuł referatu: „Wychowanie państwowe".

Autor przyznaje się na wstępie do niepewności, co można powiedzieć w godzinę na tak olbrzymi temat, i do niepokoju, ogarniającego go w związku z wnioskami, do których doszedł osobiście, a które uważa za ryzykowne w stosunku do „demokratycznie nastrojonego“ audytorjum. Pod tym ostatnim względem trudno nie przyznać mu racji.

Dla uzyskania pojęcia wychowania państwowego, przeciwstawia je wychowaniu „indywidualnemu“, wychowaniu religijnemu i wychowaniu „humanitarnemu“:

„Wychowanie państwowe nosi zgoła inny charakter Nie jest ono wyrazem żadnej określonej doktryny społecznej, żadnej wiary religijnej i żadnego określonego światopoglądu filozoficznego. Wychowanie państwowe treść swoją czerpie z rozważań natury czysto życiowej, a oparte jest na faktycznym układzie stosunków, w jakim znajduje się świat cywilizowany w chwili obecnej. Nie pretenduje ono bynajmniej do nazwy doktryny wychowawczej, ale chce w ramach istniejących i dających się na najbliższą przyszłość przewidzieć warunków (podkr. ref.) kształtować ludzi, rozumiejących swoją rolę w strukturze

państwowej, jako najbardziej zasadniczej, najpełniej funkcjonującej, najbardziej niezbędnej formie pracy organizacyjnej ludzkości".

Scharakteryzowawszy w ten sposób „wychowanie państwowe" jako zasadniczo bezideowe, dowodzi dalej autor, że dla wychowawcy obojętne być powinny formy ustrojowe, polityczne i społeczne państwa, dla którego wychowuje. Faktem decydującego znaczenia dla wychowawcy jest tylko to, „że zorganizowanego życia zbiorowego, a co za tem idzie i pełnego życia indywidualnego poza ramami organizacji państwowej nie da się dziś pomyśleć". (podkr. autora). Natomiast „jest rzeczą drugorzędną, jak jest zorganizowany aparat organizmu państwowego".

Wynikałoby stąd chyba, że obojętne powinnyby być także zmiany, zachodzące np. co do terytorjum, na którem taki „aparat jest zorganizowany" i t. p.

„Wychowanie jest związane wszystkiemi nićmi z rzeczywistością—nie wybiega i nie może wybiegać w przyszłość, która narasta mocą wysiłków zgoła innych kategoryj. Wychowanie jest funkcją życia, a nie prekursorem życia" (podkr. autora).

Autor chce zatem odebrać wychowawcom wiarę, która zawsze była, jest i będzie najszczytniejszą wartością ich zawodu, wiarę w kształtującą przyszłość moc wychowania:

„Zadaniem wychowania nie jest wcielanie w życie idealnych programów życia zbiorowego, ale przygotowanie młodzieży do tego życia, które istnieje w danym czasie i miejscu, istnieje naprawdę".

Określiwszy w tak pociągający sposób zadania wychowawcy „współpracującego", rozprawia się autor z ideą wychowania narodowego. Przychodzi mu to bardzo łatwo, bo przez proste przypięcie etykiety „wychowania nacjonalistycznego"— nacjonalizm zaś jest oczywiście synonimem szowinizmu, megalomanji narodowej i t. d. Co jednak u nas jest złe, to może gdzieindziej być dobre.

„W innych państwach, tam, gdzie mniejszości narodowych niema, albo jest ich bardzo mało, wychowanie narodowe może się pokrywać z wychowaniem państwowem. Państwo jest tam bowiem zorganizowanym narodem. U nas fakt ten oczywiście inaczej się przedstawia. Dlatego głosiciele haseł „wychowania narodowego" (cudzysłów autora) są u nas przedstawicielami nie myśli pedagogicznej, dobrej czy złej, prawdziwej lub fałszywej, ale poprostu wyznawcami pewnego programu partyjno-politycznego, pewnych interesów partyjno-politycznych, które z ideą wychowawczą mają bardzo niewiele wspólnego, choć bardzo często ubierają się w szaty aparatu naukowo-wychowawczego, tak jak nie wahają się wykorzystywać dla swoich celów pewnych zewnętrznych cech życia religijnego".

I tu autor zabawia się w przewidywania:

„Pewne opóźnienia historyczne, tłumaczące się naszemi specyficznemi warunkami życia, sprawiają, że u nas nadużywanie Kościoła dla celów politycznych nacjonalizmu trwać będzie prawdopodobnie dłużej, niż gdzieindziej, wolno jednak przypuszczać, że w stosunkowo niedalekiej przyszłości Kościół Katolicki będzie musiał przeciwstawić się wyraźnie i kategorycznie doktrynie nacjonalistycznej, co w sprawach wychowania w Polsce będzie miało niepoślednie znaczenie".

Wychowawca „państwowy" ma być zatem wolny od wszelkiej ideologji, w myśl którejby wychowywał. A jednak ma „kształtować ludzi, mogących i pragnących brać świadomy udział w pracy zorganizowanego w państwo społeczeństwa, a więc w podnoszeniu jego kultury materjalnej, w doskonaleniu stosunków społecznych, w tworzeniu wartości duchowych". Autor nie zastanawia się, czy to będzie możliwe dla wychowawcy „nie wybiegającego w przyszłość", — jak również nie waha się „kapitału kulturalnego przeszłości" przypisywać państwu, jako takiemu, choćby mowa była... o romantyzmie polskim. Nie licząc się z logiką na każdym kroku, nie pozostaje też wierny swemu pierwotnemu pojęciu państwa *in abstracto*, ale w zapale uzasadnienia konieczności wychowania obywatelskiego, słusznie zresztą, łączy je z pojęciem państwa, opartego na świadomości i woli zbiorowej obywateli.

Głównym jednak „szczytem" sofistyki autora jest błędne użycie pojęcia funkcji. Gdy mówi, że „wychowanie państwowe nie pretenduje, jak inne systemy wychowawcze, do żadnej innej roli, jak tylko do (roli) jednej z najważniejszych funkcyj życia", to łączy widocznie z pojęciem funkcji cechę braku wszelkiej immanentnej celowości; „wychowanie jest funkcją życia" znaczy dla niego widocznie tyleż samo, co: „wychowanie jest na usługach życia", spełnia to wszystko, co mu nakazuje bieżące życie — życie, kształtowane przez inne zgoła czynniki twórcze; wychowawcy przypada w udziale rola wyłącznie wykonawcza.

Słuszne też jest przewidywanie: „Może się to nie wszystkim podobać. Może niektórzy chcieliby stawiać wychowaniu cele „piękniejsze", bardziej natchnione, bardziej oddalone, woleliby może działać na gruncie ideałów bardziej wszechludzkich, bardziej nieskończonych, albo bardziej wyłącznych. Może chcieliby się oderwać od tego, co jest obecnie i co się obecnie dzieje, a pracować dla „lepszej przyszłości" — p. Jędrzejewicz jednak, jako przedstawiciel czynników decydujących, każe im porzucić te mrzonki:

„U podstawy tego, co można nazwać kierunkiem czy systemem wychowawczym, musi być poczucie mocne rzeczywistości, które wiąże pracę wychowawczą z dniem codziennym — nie jutrzejszym, lecz dzisiejszym dniem codziennym". „Z chwilą, kiedy dajemy się porwać ułudzie przygotowania młodzieży dla dalszej przyszłości, wpadamy w błędy, gdyż wtedy poddajemy naszą młodzież działaniom naszych idej, naszych ideologij, a nasze idee i ideologje bardzo często bywają złudne, fałszywe i aż nazbyt często przyszłość ich nie potwierdza. Wychowanie państwowe daje nam tę gwarancję, że w stosunku do powierzonych nam dusz młodzieży najuczciwiej się z naszego zadania wywiążemy".

Ostatnie zdanie trzeba, oczywiście, rozumieć według słownictwa „dnia dzisiejszego": postępowanie według powyższych wskazań, t. j. liczenie się z „rzeczywistością" i z „faktycznym układem stusunków", a nie uleganie złudom „lepszej przyszłości" (*point de réveries*) zyska nam łaskę tych, co rzeczywistość tworzą i żywot spokojny oraz awans w najbliższym czasie.

Trudno o wyraźniejsze zalecanie oportunizmu, ubrane w szatę teorji pedagogicznej.

W. ZAWADZKI

NAUKA I LITERATURA

PIERWSZE WYDANIE FRAGMENTÓW „ZYGMUNTA AUGUSTA" WYSPIAŃSKIEGO

CZĘŚĆ niechętnych Wyspiańskiemu krytyków podnosiła stale zarzut, że nieuleczalna choroba i związane z nią cierpienia fizyczne odbiły się ujemnie na twórczości poety z ostatnich lat jego życia. Trudno o lepszy dowód fałszywości tej opinji, jak wydane obecnie — po raz pierwszy w książkowej, zbiorowej edycji — fragmenty dramatu o „Zygmuncie Auguście" (Warszawa, 1930 „Bibljoteka Polska"), nad którym Wyspiański pracował nieomal do ostatniej chwili i jeszcze na śmiertelnem łożu dawał przyjaciołom

wskazówki co do inscenizacji tego utworu. Tyle jest w tem dziele męskiej, zdrowej siły, tyle świeżości i oryginalności w pomyśle, w tonie, stylu i języku, tyle poetycznego uroku i malarskiej plastyki w ujęciu poszczególnych scen, że można je uważać za zapoczątkowanie nowego okresu w twórczości Wyspiańskiego i snuć na jego podstawie śmiałe przypuszczenia co do dalszego rozwoju bogatego talentu autora „Wesela".

A najciekawsze w tem to, że właśnie „Zygmunt August", chociaż jest dziełem przedzgonnem, pisanem nieomal stygnącą ręką poety, to jednak tchnie trjumfem witalizmu, wykazuje w ewolucji duchowej bohatera przezwyciężenie śmierci, oraz wyzyskanie jej niszczycielskiej siły do budowy nowego życia. Na grobie umiłowanej Barbary rodzi się twórczy czyn Augusta, którym król koronuje wysiłki swego heroicznego żywota. Wraz z Barbarą schodzi z planu Zygmunt August — kochanek, marzyciel, walczący o prawo do osobistego szczęścia, a występuje na widownię Zygmunt August — król, człowiek czynu, dążący do uszczęśliwienia [illegible]ego narodu, budowniczy potężnej Polski.

Co się tyczy ukształowania zasadniczego tematu, to mimo dokładnej znajomości materjału historycznego (Szajnocha, M. Baliński, A. Przeździecki, diarjusze sejmowe i t. p.) Wyspiański odbiegł znacznie od koncepcyj poprzedników, walkę kochanków o prawo do szczęścia i do miłości przenosząc w sferę zagadnień ogólno-ludzkich, ujętych na sposób tragedyj greckich. Podniosła atmosfera moralna, właściwa zarówno tragedji greckiej, jak i dramatowi Wyspiańskiego, wewnętrznie blisko z sobą spokrewnionym (np. „Klątwa", „Sędziowie", „Powrót Odyssa" i t. p.), promieniuje tutaj ze szlachetnych dusz bohaterskiej pary kochanków. Oto co Zygmunt August mówi o posłannictwie królewskiem:

„Żem król, to na to, bym dotrzymał
przysięgi, com złożył.....
Żem król, to na to, bym był górą
nad wszystko małe i spodlone.....
a prawdą ważył słowa moje.
Bom tyle król, co prawdą stoję" (sc. I)

A oto „ostatnia wola" konającej Barbary, starającej się rozbudzeniem męskiej energji, dumy królewskiej i patrjotycznej troski przygłuszyć rozpacz kochanka-męża:

„Zostaniesz, bo cię Bóg zostawia;
boście włodarzem tu od pługa,
koronowany pan w narodzie.
O własnej wam nie myśleć szkodzie,
o własnej wam nie myśleć biedzie,
boście ten żołnierz z Bożej woli,
co inne mnogie pierwszy wiedzie..." (sc. VI)

Rozgrywająca się w dramacie walka — to przejaw odwiecznego zmagania się dobra ze złem, prawdy z kłamstwem, światła z ciemnością. Zygmunt August, pokonany jako kochanek w dążeniu do osobistego szczęścia (przepiękna, tchnąca duchem refleksyjnej liryki Kochanowskich, Szarzyńskich skarga na niedolę ludzką: „Darmo z losem idziesz w boje..."), zwycięża jako król na froncie dobra ogólnego, doprowadzając do skutku wiekopomne dzieło Unji Lubelskiej. Potężna w swej sile i lapidarności mowa tronowa Augusta w sc. XII, po uchwaleniu unji, jest testamentem politycznym Polski Jagiellońskiej, a równocześnie może być uważana za testament poetycki samego poety, piewcy „Polski żywej":

„Oto poza chmur całunem
pioruny płomienne biją.
Niechże nam będą przestrogą,
że się burze jawić mogą,
które czasy przyszłe kryją.
Tedy zbroją i orężem,
braterskiem związani kołem,
dostoicie burzom czołem,
znacząc się czynem — piorunem...
Na wieczyste, wspólne znoje.
na wieczyste wspólne życie,
czyli w złym czy w dobrym bycie:
„Boże, przyjdź Królestwo Twoje!" (sc. XII)

I pomyśleć, że utwór ten, pełen najwyższego poetyckiego polotu (pochwała mowy polskiej w sc. III., przemówienie króla po zawarciu unji w sc. XI), zawierający obok wspaniałych scen historycznych (sejm piotrkowski, sc. III Unja Lubelska, sc. XII) szereg wzruszających ustępów lirycznych (duet miłosny Augusta i Barbary w sc. I, śmierć Barbary w sc. III), właściwie nie był dotąd znany szerszym kołom czytelników. Wprawdzie prawie wszystkie z zebranych tu fragmentów były już uprzednio drukowane, ale osobno, po różnych perjodykach, a więc były dostępne tylko dla garstki wybranych, mogących korzystać z usług wielkich bibljotek.

Rekonstrukcji całości, w pewnym logicznym układzie poszczególnych fragmentów, podjął się p. Leon Płoszewski, opierając się na pozostawionych przez poetę zapiskach i planach, przyczem 2 fragmenty, nie dające się nigdzie do właściwego tekstu włączyć, zostały podane w aneksach. Zasady swej rekonstrukcji wykłada nam wydawca w końcowych uwagach krytycznych, poświęconych poza tem omówieniu genezy, źródeł i tym podobnych, związanych z dziełem zagadnień. Wydania dramatu Wyspiańskiego podjęła się zasłużona „Bibljoteka Polska" w Warszawie, zachowując tradycyjny dla wydawnictw autora „Wesela" układ graficzny w kompozycji okładki, rozplanowaniu tekstu, doborze czcionek i t. p.

Sceny dramatu o „Zygmuncie Auguście" mają wejść w skład VI-go tomu „Pism" Wyspiańskiego, który według zapowiedzi wydawcy ma się ukazać jeszcze przed upływem bieżącego roku (daj Boże, aby się ta zapowiedź spełniła), a zawierać będzie fragmenty dramatyczne, częściowo nieznane, w opracowaniu L. Płoszewskiego, jako następcy prof. Sinki na stanowisku redaktora tego cennego wydawnictwa.

Opublikowanie fragmentów „Zygmunta Augusta" powinno dać asumpt, przedewszystkiem teatrowi krakowskiemu, do jak najrychlejszego wystawienia tego arcydzieła Wyspiańskiego, w formie swej realizującego przejęty od Wagnera ideał „dramatu przyszłości", łączącego w organicznym zespole elementy: poetycki, malarski i muzyczny. Co do ujęcia dekoracyjnego pozostawił autor wystarczające wskazówki, może który z kompozytorów polskich zdobędzie się na stworzenie, godnej dzieła tego, ilustracji muzycznej.

RAJMUND BERGEL

RUCH WYDAWNICZY

W r. 1918 Emil Zegadłowicz ogłosił w wytwornym tomiku p. t. „Tematy chińskie" garstkę parafraz i utworów chińskiego poety, zwanego Li-taj-pe (albo Li-taj-bo). Owo sięganie do źródła tak egzotycznego wiązało się u Zegadłowicza z fermentem, jaki wówczas przechodziła jego twórczość i po kunsztownych „*Imagines*" poeta rozpoczął nagle nawrót do prymitywów. Szukał ich w różnych poezjach starych czy egzotycznych („antologja" poezji murzyńskiej, napisana wespół z Kozikowskim), a znalazł je nakoniec w rodzinnych Beskidach. Zagrzebane wspomnienia „fletni chińskiej" Li-taj-bego ponownie obudziła w Zegadłowiczu praca nad spolszczeniem Schillerowskiej przeróbki z baśni scenicznej Gozziego p. t. „Turandot". Dzięki temu otrzymaliśmy niedawno nowy tomik poezyj Zegadłowiczowskich p. t. „Zegar słoneczny w chińskim ogrodzie" (Poznań, Św. Wojciech, serja „Czarnolas"). Prolog tej książki mówi wyraźnie o jej genezie; wspomniane są w nim nawet imiona Turandoty i Kalafa, *notabene* zgoła nie chińskie, bo wzięte z arabskich baśni „Tysiąca i jednej nocy", a w chińskim języku zgoła niemożliwe (język ten nie posiada spółgłoski *r*, a żaden w nim wyraz nie kończy się na *l*). Dodatkiem swoistym Zegadłowicza jest i epilog, od którego tytuł wzięła cała książka; myślą przewodnią jest, że „dawny czas płynie od nowa". Na resztę zbiorku składają się parafrazy z poezyj Litajpego, Wań-czań-li (błędna pisownia Wang-czang-li bierze początek zapewne ze źródła niemieckiego), Thu-fu, Czań-ci i innych. (J. B.)

*

Autor znanego studjum historycznego „Na dworze króla Stasia“ ulubił z minionych czasów najwięcej erę rokoka. Wprawdzie w powieści *„Ducssa Kunegundis“* i studjum „Klasztor i kobieta“ wyprawiał się na przechadzki w średniowiecze, pod łuki architektury gotyku, w atmosferę zamków obronnych basztami i rowami, jednak najlepiej czuje się w atmosferze salonów epoki stanisławowskiej, artystycznego zbytku, intryg i zawikłań miłosnych i politycznych. Ukazał z przemiłą ironią wdzięk, i z głębokiem zrozumieniem dramatyczność czasów tych i późniejszych napoleońskich, buduarowy, wycackany i wypudrowany klasycyzm, i pierwszy świt romantyzmu. Czasy stanisławowskie tają wiele męki i hańby, bo przecież istotną ich treścią są rozbiory Polski, powstanie Kościuszki, i dramat złudzeń w dobrą wolę i zwycięstwo armji Napoleona i legjonów Dąbrowskiego. To też niefrasobliwość bawiącego się świata odzywa się wśród tego przykrym dysonansem i zgrzytem Różnicę tę uwydatnia Wasylewski mistrzowskiem piórem, a chwilami przymyka oczy na przepaści, które dzielą te nastroje. Nie potępia nikogo, nie lamentuje, opowiada.

Nowa książka, „Twarz i kobieta“, to zbiór portretów psychologicznych i obyczajowych. Żywoty polskich „pań swawolnych“. Piękne figurynki, królowe balów, lwice salonów, boginie mody, mieszały się w politykę, i na wiele bieżących spraw miały wpływ decydujący, przeważnie ujemny i szkodliwy. A więc portrety osób ważnych, niemal historycznych, na tle i w kosztownych oprawach przepychu i fantazji. Atmosfera barwna, pogodna, często analogiczna do zdarzeń ówczesnej Francji, której skazańcy w ostatniej chwili życia, na schodkach gilotyny, umieli się zdobyć na humor i dowcip. Sceny tych gier—to Warszawa Stanisława Augusta, lub godne królów rezydencje wielkopańskie, Puławy Czartoryskich, Nieborów Radziwiłłów, Dukla Mniszchów. Autor powołuje do życia cały ten świat w oświetleniu swojskiej i obcej kultury, literackiej, malarskiej, architektonicznej i krawieckiej. Światowiec, trochę filozof i moralista, opowiada o kłopotach serc swych bohaterek, o ich salonach i wojażach, lekko, z właściwym tej epoce akcentem sceptycyzmu, tak żywo, jak gdyby sam był tam obecny, i widokiem tych wypadków i niespodzianek bawił się wybornie. (A.W.)

*

Zdawna wielką wziętością się cieszy wydawnictwo Księgarni Świętego Wojciecha, noszące trafny tytuł „Dla wszystkich“. Wydawnictwo to dotychczas obejmowało dwie serje wyłącznie beletrystyczne; jedna z nich mieściła utwory literatury polskiej, druga zaś — obcej. Korzystając z zainteresowania, jakie budziły te małe, zgrabne, wytwornie wydane i zajmujące książeczki, kierownictwo postanowiło rozszerzyć zakres wydawnictwa, wprowadzając — w myśl zasady Horacego — nietylko *dulce*, ale i *utile*; obok wspomnianych seryj literackich ukazywać się zaczęły dwie nowe, mające charakter pouczający. Pierwszą z nich jest „Bibljoteczka przyrodnicza“, w której obok wiadomości o roślinach i zwierzętach różnych krajów spotyka się tomiki, popularyzujące wiedzę geograficzną, kosmografję, antropologję; ciekawy jest zwłaszcza tomik, zawierający opowiadanie o bohaterskiej wyprawie Fritjofa Nansena pod biegun północny. „Serja D“ wydawnictwa wspomnianego obejmuje żywoty i życiorysy ludzi, przeważnie współczesnych, którzy przez ofiarność wielką, przez wyparcie się własnego szczęścia, poświęcenie, trud i pracę oraz świętość czynów służyli lub służą najwznioślejszym ideałom ludzkości. Przykładem takiego bohaterstwa i takiej pracy pożytecznej są misjonarze katoliccy, oddani apostolskiej i humanitarnej działalności wśród mroźnych pustkowi kanadyjskich; opowiada o nich pięknie znana pisarka, Cecylja Walewska w książce „W krainie grozy, strachu i cudów przyrody“. Ta sama autorka barwnie opowiedziała o innej jeszcze pracy apostolskiej — tym razem już prowadzonej przez zakonnice — „W słońcu i urokach Indyj“; z książeczki tej dowiadujemy się mnóstwa szczegółów obyczajowych z życia ojczyzny Tagore'a. Może należałoby ogłosić i ze dwa tomiki, poświęcone działalności misjonarzy polskich: księdza Beyzyma, pracującego wśród trędowatych na Madaskarze, oraz gromadki jezuitów, prowadzących apostolstwo w „polskiej prowincji misyjnej“, Zambezi; obecnie nową „polską prowincją“ apostolską stał się Sachalin i półn.-wschodnia połać Chin (O. Gerard Piotrowski). Ciekawa też jest książka „Prawda o Teresie Neuman“, gdzie w świetle naukowem przedstawione są dzieje słynnej stygmatyczki współczesnej.

Piękną szatą zdobniczą (doskonałe ilustracje Marji Jaroszyńskiej) zalecają się wydane świeżo przez tę samą firmę księgarską dwie książki: Heleny Pagé, „Siewca radości“ i Elżbiety Pauli „Chleb i róże“, z których pierwsza w formie beletrystycznej opowiada o życiu św. Filipa Nerjusza, druga zaś o św. Elżbiecie węgierskiej. Nastrojem i formą literacką utwory te nieco przypominają znaną powieść Szczuckiej „Z miłości“. (J. B.)

*

Mała, ale wymowna jest broszurka ks. Urbana, notytuł „Walka z Antychrystem“ (Kraków nakł. OO. Jezuitów). Tęgi publicysta i redaktor „Przeglądu Powszechnego“ a dawny misjonarz Podlaski zabiera w niej głos w sprawie prześladowań religijnych w Rosji bolszewickiej, posługując się materjałem wiarygodnym i wszechstronnie wyjaśniającym sprawę wspomnianą. Po przeczytaniu tych zwięzłych notatek o iście Neronowskich postępkach czerwonych dyktatorów, mimowoli przychodzą na myśl słowa Mickiewicza: „nie było takiej niewoli nigdy na świecie ani przedtem ani potem; oprócz Rosji za dni naszych“. Trafną jest myśl autora, że „i my w Polsce posiadamy gotowych kandydatów na rodzimych Bucharinów i Łunaczarskich w agitatorach komunizmu, w apostołach wolnej myśli“, w nauczycielach nowej, „wyzwolonej“ od wszelkich więzów, moralności — słowem, w osobach różnych Hemplów, Minkiewiczów, Boyów“... A oto i drugie *memento:* „Trzeba conajmniej stwierdzić u nas zbytek pobłażliwości dla rozmaitych dziwnych rzeczy: dla prądów antyreligijnych wśród dużej części nauczycielstwa, wśród ludzi na wpływowych stanowiskach, dla podjazdowej walki z Kościołem na łamach różnych radykalnych pism, dla jawnego propagowania w broszurach bezwstydu, rozkładu moralnego, dla podkopów pod rodzinę, gloryfikowania zamachów na życie dziecka“. Powinna ta książeczka rozejść się szeroko — oby dot rła i do tych, o których mowa w zdaniu ostatniem!.. i oby poruszyła ich sumienie...

*

Właśnie opuścił prasę 4 numer „Neofilologa“, czasopisma, poświęconego kwestjom związanym z językami nowożytnemi i ich nauczaniem. Numer przedstawia się interesująco i poważnie. Prof. Glixelli (Wilno) zajmuje się kwestją średniowiecza w podręcznikach historji literatury francuskiej (Lanson, Momet, Des Granges, Lanson et Tuffrau) Artykuł pisany po francusku. Bardzo instruktywne są uwagi i rozważania prof. Jakóbca o lekturze podstawowej i uzupełniającej w nauczaniu języków obcych. Kanon podany dla jęz. niemieckiego po pewnych zmianach, które dyskusja ustali, jest praktyczny i możliwy do przyjęcia. Cenne wskazówki przynosi referat o teatrze szkolnym i nauczaniu jęz. obcych. Artykułem cenionego praktyka i teoretyka nauczania jęz. niem. prof. Ippolta p. t. „Maksymaliści i minimaliści w nauczaniu jęz. obcych“ zajmiemy się przy sposobności dokładniej. W dziale „Z praktyki dla praktyki“ znajdujemy artykulik p. Jesionowskiego „O żywy kontakt z obcym krajem“. Ponadto zawiera numer 4. „Neofilologa“ recenzje 15 książek, czasopism polskich, franc., ang. i niem. bogatą bibljografję i notatki. (A. J.)

SZTUKI PLASTYCZNE

SPÓR O FOTOGRAFIKĘ

W POPRZEDNIM (nr. 1) zeszycie „Myśli Narodowej“ znakomity artysta-fotograf p. Jan Bułhak zaszczycił mnie polemiką w sprawie, o którą na tych tu łamach miałem niedawno spór z panem W. Frantzem. Ja utrzymuję, że fotografika nie jest sztuką (w znaczeniu artyzmu), zaś obaj moi przeciwnicy utrzymują, że jest sztuką. Spór ten mógłby być w całości bardzo ciekawy i pouczający, gdyby wszędzie przyświecała mu ścisła myśl naukowa, jest-to bowiem spór naukowy, mianowicie — do zakresu teorji sztuki lub (jak inni zwą) filozofji sztuki należący. Niestety, przeciwnicy moi postawili go w innej zgoła płaszczyźnie — dyletanckiej i uczuciowej. W szczególności odpowiedź p. Bułhaka cechuje podniecenie, z którego powstało wiele błędów, przeinaczeń, oraz chwytów raczej wiecowych, niż rozumowych. Mimo to obowiązek nakazuje mi podjąć replikę. Ażeby jednak sprawę tak uczuciowo zaciemnioną przedstawić czytelnikom jasno, muszę naprzód usunąć błędy i chwyty w tej ich kolei, w której spotykam je w polemice p. Bułhaka. Dla przejrzystości będę je numerował.

1. Przeciwnik mój zaczyna od twierdzenia o mojej „uporczywości, z jaką już w drugim obszernym wywodzie“ dowodzę, że fotografika nie jest sztuką („odsądzam ją“, jak się wyraża mój przeciwnik, „od atrybutu i godności artyzmu“). Zdanie o „uporczywości“ podsuwa czytelnikowi myśl bardzo o mojej osobie niepochlebną, a mylną. Napisałem w prasie

jeden (jedyny w życiu mojem) szkic o fotografice (nr. 41 „M. Nar.“). Z powodu tego szkicu wystąpił z polemiką p. W. Frantz. Na tę polemikę odpowiedziałem, bo to był mój obowiązek, a odpowiedź ta (nr. 47 „M. Nar.“) była przeszło dwukrotnie krótsza od polemiki p. Bułhaka. Oto wszystko.

2. Przeciwnik mój mówi, że ja „odsądzam *a priori* fotografikę od atrybutu i godności artyzmu“. Ponieważ, jak to każdy naocznie stwierdzić może, w szkicu swoim oparłem wniosek o fotografice na szeregu faktów i rozumowań, więc nie można go nazwać apriorycznym. Słowa zaś „odsądzam“, i „od godności“ są również nieodpowiednie, bo sztuka jest tak samo godna, jak każda praca ludzka o ile jest uczciwa. Nigdzie nie „odsądzałem“ fotografiki, tylko ją poprostu zaliczyłem do techniki, a nie do sztuki. Te samowolne określenia mojego przeciwnika ten tylko mają skutek, że czytelnika źle do mnie usposobiają uczuciowo.

3. Przeciwnik mój twierdzi, że ja „przyrównywam (fotografikę), jako proceder rzekomo wyłącznie techniczny, do dentystyki, konnej jazdy, piłkarstwa nożnego, tudzież do zawodów adwokackiego i złodziejskiego“. A następnie na cytacie tej wspiera swoje dowcipne oraz ironiczne igraszki słowne. Niestety! Odpowiednie miejsce mojego szkicu brzmi całkiem inaczej, a mianowicie mówię tam (nr. 41 „M. Nar.“), jak następuje:

„W każdym zawodzie i rzemiośle, w każdej wogóle czynności — od stolarstwa i ogrodnictwa do dentystyki i jazdy konnej — przydomek „artysta“ oznacza mistrzostwo roboty, albo obecność pewnych pierwiastków, czy to twórczych, czy też artystycznych. Artystą można być w medycynie i w strategji, w piłce nożnej i w polityce, w zawodzie adwokackim i złodziejskim. Tę samą swobodę posiada słowo „sztuka“. Mówimy „sztuka fryzjerska“, „sztuka wojskowa“, „sztuka życia“ i tak dalej, a wszędzie słowem tem oznaczamy albo technikę danej nauki, praktykę danej teorji, albo udział pierwiastków indywidualnych i irracjonalnych, które w skróceniu nazywamy talentem. W tej płaszczyźnie leży również sztuka fotograficzna. Tak wielka jednak rozpiętość słów „sztuka, artysta i talent“ doprowadziła do zamętu w samych pojęciach, co szczególniej dotknęło działy pracy, które z jakichkolwiek powodów sąsiadują z tak zwanemi sztukami pięknemi“.

Czytelnik widzi, że z całą jasnością mówię tu o wielkiej rozpiętości słów „sztuka i artysta“, stosowanych w mowie potocznej do każdej czynnności, a bynajmniej nie przyrównywam fotografiki do czegokolwiek, jak to mylnie utrzymuje mój przeciwnik. Mogę dodać, że mówi się również „sztuka perkalu“ i „sztuka mięsa“, z czego przeciwnik mój wywnioskuje, że przyrównywam fotografikę do spódnic i wołowiny. Nie! To nie są rzeczowe sposoby polemiczne! A przytem jeszcze to przykre słówko p. Bułhaka — „proceder“, którego ja nigdzie nie użyłem i wogóle nie używam!...

4. Przeciwnik mój mówi łaskawie: „Fotograficy na wymyślanie godzą się filozoficznie“. Wynika z tego, że jakoby ja „wymyślam“ na fotografików, czyli obrzucam ich obelgami. Gdzie i kiedy to uczyniłem? Mam nadzieję, że przeciwnik mój zechce mi na tem miejscu wobec czytelników naszych przytoczyć bodaj jedno „wymyślanie“ (jedną obelgę), przezemnie na fotografików rzucone.

5. Przeciwnik mój mówi, że „nie zamierza polemizować z całym aparatem djalektycznym twierdzeń, przesłanek i wniosków p. Pieńkowskiego“. Temi słowami na podziw skromnie ocenia p. Bułhak własną swoją polemikę. I rzeczywiście, niema w niej ani jednego argumentu rzeczowego i rozumowego. Jest ona tylko nagromadzeniem błędów, przeinaczeń i krzywdzących mnie gołosłownych orzeczeń, które tu właśnie punkt za punktem wymieniam.

6. Przeciwnik mój w słowach uraźliwych ośmiela się podawać w wątpliwość „rycerski obyczaj“ i „broń przepisową“, moich tu drukowanych dwóch szkiców, dowodzących, że fotografika nie jest sztuką. Ale nie daje na to ani jednego dowodu (jak w punkcie 4), albo je podaje w cytatach gruntownie przeinaczonych, jak ta w punkcie trzecim, albo ta — poniższa, o której zaraz mówić będę.

7. W dalszym ciągu przeciwnik mój mówi: „P. Pieńkowski orzeka, że dla wydania sądu o cenzusie artystycznym fotografiki nie potrzeba znać jej dzieł, lecz wystarcza znać przebieg jej techniki“. Odnośne miejsce w moim szkicu (nr. 47 „M. Nar.“) brzmi, jak następuje: „Dopóki artysta ten (t. j. fotograf) posługuje się widzącym i malującym aparatem, na rzemyku noszonym, dopóty ani fotografika — sztuką, ani fotografja — dziełem sztuki nazwane być nie mogą. Nie trzeba na to znać fotografij p. Bułhaka. Wystarczy znać przebieg pracy fotograficznej“.

Czyżby przeciwnik mój wszystkie wogóle na świecie dzieła fotografiki utożsamiał z fotografjami p. Bułhaka? Czy też (łagodnie mówiąc) przeinacza cytaty? I jak nazwać należy takie chwyty polemiczne?

Do powyższego zdania swego przeciwnik mój jeszcze jedno, równie rzetelne, dodaje, mianowicie mówi: „Dla większej wagi twierdzenia (p. Pieńkowski) przyznaje otwarcie, że utwory fotografiki współczesne są mu obce“.

I znowu muszę wyrazić nadzieję, że przeciwnik mój zechce przytoczyć, gdzie to mianowicie i kiedy przyznałem, że utwory fotografiki współczesnej są mi obce. (Bardzo mi przykro, ale nigdzie niczego podobnego nie przyznawałem). P. Bułhak górnie powołuje się na rycerskość. To obowiązuje...

8. W związku z punktem poprzednim przeciwnik mój w końcowych okresach swej polemiki mówi raz jeszcze: „Bo mimo całego szacunku dla p. Pieńkowskiego muszę podkreślić, że on sam nie wahał się oświadczyć, iż dzieł współczesnej fotografiki nie zna i znać dla wydania o nich sądu nie potrzebuje“. Zaś o kilka wierszy dalej p. Bułhak jeszcze raz dodaje: „Więc czy można znaleźć tytuł do chwały w tem, że się ich (fotografików) wysiłków nie zna i znać nie pragnie“? A w innym okresie uogólnia te zarzuty w takiem zdaniu: „Przywykło się mniemać, że wpierw poznaje się gruntownie pewną sprawę, a dopiero potem wydaje się sąd o niej. P. Pieńkowski woli czynić inaczej“.

Oto jak daleko zaniósł p. Bułhaka zapał polemiczny. I pomyśleć, że to wszystko zbudowane jest na własnem pana Bułhakowem przekręcaniu cytat i na podsuwaniu mi słów, których nigdy nie powiedziałem!

9. Przeciwnik mój w kilku miejscach swojej polemiki utrzymuje, że ja w ocenie dzieł sztuki nie biorę pod uwagę strony duchowej, lecz tylko fizyczną, a uogólnia to swoje twierdzenie w następujących zdaniach moralizatorskich: „W sztuce badać i krytykować należy nie środki, tylko — osiągnięcie. Nie narzędzia — tylko dokonane dzieła. Nie materjalną, techniczną drogę wykonawczą, tylko — natężenie i skalę, w jakiej odzwierciadla się w tem wykonaniu osobowość, psychika, kultura, i talent, słowem — duchowość człowieka. Powtarzając te abecadłowe prawdy, znane studentom akademji z pierwszego roku, przykro mi naprawdę, że musi je przypominać wytrawnemu weteranowi estetyki — taki zwyczajny fotograf z rzemykiem przy aparacie“.

Na to odpowiadam, że p. Bułhak mógłby bardzo łatwo oszczędzić sobie i tej przykrości i tego powtarzania, gdyby przedtem nieco uważniej przeczytał to, co ja o fotofrafice pisałem. W № 47 „Myśli Narodowej“ warunek bezpośredniej pracy człowieka w dziele sztuki nazwałem wyraźnie „przedwstępnym i najprostszym warunkiem fizycznym“, który uprzednio istnieć musi, aby dzieło można było do sztuki zaliczyć. A tuż przy tem zawarowałem, że dzieła takie „możemy uznać za dzieła sztuki o ile jednemu jeszcze, duchownemu warunkowi zadość uczynią“. Chyba to jasno powiedziane? Pracę fizyczną nazwałem warunkiem „przedstępnym“, „najprostszym“, „tak dalece prostym, że o nim się nie mó-

wi". Zaś rozstrzygnięcie ostateczne pytania, czy dane dzieło należy do sztuki, pozostawiłem warunkowi duchowemu. O tej duchowości piszę równie jasno w Nr. 41 „Myśli Narodowej", w szeregu porównań, mianowicie:

„Oko aparatu fotograficznego widzi wszystko z jednakową dokładnością, przedmiotowością i obojętnością, jest całkowicie analityczne, nigdy najmniejszej nawet syntezy dać nie może. Okiem człowieka kierują stany jego duszy, wzruszenia, uczucia, wola wyboru, skojarzenia i tym podobne siły, które narzucają się przedmiotom widzianym, mieszają się z niemi, mącą je i zmieniają w sposób najrozmaitszy, słowem — nasycają przedmiot cechami podmiotu widzącego i czującego. W tej czynności mimowolnej człowiek tworzy syntezy kształtu i barwy, których niema w przyrodzie i temi syntezami, gdy jest artystą, rysuje i maluje. Z powodu braku owych narzuceń, nasyceń i syntez każda fotografja jest tworem mechanicznym — lepszym lub gorszym, zależnie od swego dozorcy, ale zawsze ze stanowiska sztuki — bezdusznym". A opodal dorzucam jeszcze takie zestawienia: „Fotografja jest dziełem sił fizycznych przyrody, zaś obraz malarski — dziełem sił duchowych człowieka. Fotografika daje tylko świat przedmiotowy, w sztuce poprzez przedmiot przemawia świat podmiotowy." („Myśl Narodowa" Nr. 41).

Wobec tego wręcz pojąć nie mogę, jak przeciwnik mój mógł mi przypisać pomijanie strony duchowej w rozważaniach o sztuce! A właśnie na tem swojem przypisaniu p. Bułhak oparł wszystkie kazania, napomnienia, wzloty poetyckie, ironje i dowcipy swojej polemiki.

10. Opisane powyżej błędy, przekręcania i dowolności przeciwnik mój obficie ukwiecił mnóstwem zboczeń retorycznycg, do sporu nie należących, które sprawę obciążają i zaciemniają. Odrzucam je bez słowa odpowiedzi. Przeciwnik mój polemizuje z jakimś tworem własnej wyobraźni, a nie ze mną. Ale najgorszą w jego polemice rzeczą jest, że własny swój ton mnie przypisuje. Mówi mianowicie: „taki ton i sposób uzasadnienia nie może mieć miejsca w poważniejszem roztrząsaniu, za co odpowiedzialność nie mnie obciąży".

Czytelnicy „Myśli Narodowej" nie są wiecem Burdów, Bryłów i Baćmagów, zatem doskonale się zorjentują, po której stronie jest ton i sposób uzasadnienia rzeczowy, poważny i godny. Najmniejszych co do tego obaw nie żywię i przechodzę do *meritum* sprawy, które z braku miejsca w następnym omówię zeszycie.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA MARGINESIE

Akademja literacka. Obóz sanacyjny skupił na swe posługi spore grono literatów, dosłownie „skupił". Dał im łatwy zarobek, a nawet obietnicę, że stworzy z nich akademję literacką. Na czoło tej grupy wysunęli się pisarze „legjonowi": Sieroszewski i Kaden-Bandrowski. Opinja publiczna zwróciła uwagę, czemu te świeczniki, gdy sprawa brzeska pokryła chmurą wszystkie inne zagadnienia, naraz zgasły. „Humaniści", okazało się, usta mają zakneblowane, wykłamują się i poprostu łżą.

Sieroszewski posunął swoją „służbistość" tak daleko, że pokrył hańbą oszustwa swe nazwisko; telegrafował na zapytanie prasy polskiej w Ameryce, że „sprawa więzienia w Brześciu była wyjaśniona w trybie przepisanym ustawowo przez władze sądowe, które nie znalazły przekroczeń". Kolega jego po piórze, powieściopisarz Andrzej Strug, odpowiadając na napaść Sieroszewskiego, określił jego wystąpienie jako „arcydzieło łgarstwa, oszczersrwa i podłości".

Kaden-Bandrowski, oskarżony w liście otwartym przez Antoniego Słonimskiego, że razem z Sieroszewskim udaremnili w Tow. Literatów akt zbiorowego protestu, odpowiedział w urzędowej „Gazecie Polskiej", że należy czekać na wynurzenie rządu, a ja — powiada, „nie mam n a j m n i e j s z e g o p o w o d u wątpić w lojalną i rzeczową odpowiedź czynników miarodajnych". Lepiej byłoby wątpić o czemś, nie w co, ale to gorsza, że p. Bandrowskiemu niewolno wątpić, a tę okoliczność pokrywa frazesami o swej nieustraszonej odwadze Na dowód przytacza, że on „wprowadził na rynek polski pisarzów bolszewickich (Erenburg, Br. Jasieński, Babel i in.)", on też stanął w obronie Tuwima, gdy zareagowano na jego wiersz bolszewicki o karabinie.

My wiemy, że p. Kaden jest bolszewikiem z etyki i ma odwagę niszczyć społeczeństwo, ale chodzi o to, że się solidaryzuje ze zbrodnią, bo mu z tem dogodniej. Brak poczucia moralnego maskuje ideologją komunizmu.

Znany powieściopisarz Jerzy Bandrowski, zastanawiając się nad stanowiskiem Sieroszewskiego i swego brata Jul. Kadena-Bandrowskiego, tak o tym drugim pisze („Polonia" z 30. XII. 1930):

„Ja osobiście nie mam wiary w jego zdolność orjentowania się w sytuacji, znam go zbyt dobrze, ale on musi przecie widzieć, co się dzieje, a jeśli nie, to przynajmniej czuje. Może, zajęty mrzonkami o b l i s k i m j u ż k o m u n i z m i e, w nim upatruje klucza do sytuacji („Po nas niech przyjdzie potop!"), w czem się znowu pomyli, w każdym razie, mimo niewątpliwie zręcznego balansowania między sanacją a komunizmem, doszedł do tego, że w momencie, dla psychiki narodu przełomowym i decydującym o jego „tak czy nie", on naprawdę nie może i nie śmie nawet beknąć ani „be", ani „me". I to jest mat!"

Postać p. Kadena rzuca rewelacyjne światło na całą grupę, która go za swego genjusza uznała, dając mu kierownictwo literackie swego pisma. Nikt się nie dziwi, że on „nie wątpi" w chlebodawców, ale to dziwne, że oni „w niego" nie wątpią. Polska za ich sprawą przebywa okres bolszewizmu w swoistej postaci. Jedni go maskują, bo go się wstydzą i w zatargu są z państwem bolszewickiem na wschodzie, ale już niczem innem być nie mogą: bolszewizm *de facto* ze wszystkiemi jego obyczajami i poglądem na Boga, człowieka, naród i państwo. Bandrowski chełpi się bolszewizmem, widząc w nim modny kierunek, moralnie zaś i politycznie jest mu *„wurst egal"*. Programu dlatego nigdy od tych ludzi się nie doczekamy. Każdy swój postępek będą motywować *ex post* kazuistycznie jakąś racją państwową, jakąś niepohamowaną miłością, podzielą odpowiedzialność i zamaskują się, nagromadzając koło siebie siłą atrakcyjną posad i skarbu mnóstwo różnorodnych typów politycznych, „aby trudniej było zgadnąć", ale literaci tacy, jak Bandrowski, E. Breiter będą się zawsze demaskowali, bo oni muszą się wypisać i popisać.

*

Pulicystyka obozu prorządowego stoi istotnie na wysokości moralnej Kostka-Biernackiego. W artykule wstępnym (nr. 6) „Gazeta Polska" oświadcza, że ci którzy zakładają protesty w sprawie brzeskiej

„budząc w nas (w sprawcach. Objaśn. nasze) uczucia, bezsprzecznie same w sobie szlachetne, usiłują wbić klin w n a s z e własne serca, każdemu poszczególnemu z n a s rozdwoić sumienie i w ten sposób uczynić wyłom w n a s z e j twierdzy, wprowadzić zamieszanie do n a s z e j ideologji i osłabić n a s z ą dyscyplinę. Śmieszni ludzie! Uderzono w n a s z e s e r c a i zaapelowano do n a s z y c h s u m i e ń"...

Istotnie śmieszni ludzie! A dalej:

Pamiętajmy, że uczyniono to w h a n i e b n y m c e l u... aby tem łatwiej pochwycić sztandar wielkości i siły Polski. Niechże się dowiedzą ci, którzy tę z b r o d n i c z ą agitację prowadzą, że m y o tem wiemy, że rozdwoić się nie damy... Spekulacja na sumieniach nie uda się. Ludzie, którzy chcieli wbić klin w n a s z e serca... z a p ł a c ą z a t o i t o n i e d ł u g o"...

Jak tu gadać o etyce i godności ludzkiej z tego typu ludźmi, którzy się obrażają o to, że ktoś apeluje do ich serc i sumień, którzy wyobrażają sobie, że „wielkość i siła Polski" jest antynomją uczciwości i godności ludzkiej, które trzeba dla dobra Polski gwałcić?

A co się tyczy pogróżki, to widocznie ci ludzie (owo „my") czekają skądś zdaleka na sukurs (aby się snać nie rozdwoili), na nowe zarządzenia represyjne. Widocznie wkrótce ma nadejść odpowiedź.

*

Podobno... w najbliższym czasie wygłoszona być ma nowa serja ministerjalnych odczytów propagandowych w sali Filharmonji warszawskiej. Jako pierwszy odczyt nowej serji przewidywany jest wykład ks. wiceministra Żongołłowicza p. t. „Sprawa brzeska w świetle etyki katolickiej".

Jak słychać, zamierzony odczyt wywołał olbrzymie zainteresowanie wśród najszerszych kół inteligencji. Już dziś tłumy ciekawych dopytują się o bilety. Niewątpliwie odczyt będzie musiał być kilkakrotnie powtórzony.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.